

# DETEKTYW

TYLKO HISTORIE PRAWDZIWE

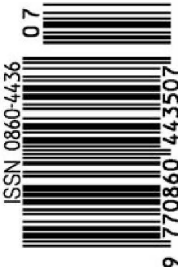
7

347

**POLOWANIE  
NA „KONDORA”**

**NIEOCZEKIWANY  
SPADEK**

**KOCHAMY  
LAS**




INDEKS 355550

cena 3 zł 90 gr (w tym 8% VAT)

Krzysztof Kilijanek	
<b>Prowadzę, nie rozmawiam!</b> - Od redakcji .....	2
Leon Madejski	
<b>Połowanie na „Kondora” cz. 1</b> - Król hakerów .....	3
Tomasz Łukaszewicz	
<b>Nieoczekiwany spadek</b> - Pamiątka po tatusiu .....	10
Adam Werner	
<b>Zabił dyrektora</b> - Sprawa nierozwiązana.....	14
Roman Bartosiak	
<b>Chorowity „ojciec chrzestny”</b> - Rodzina „Kulawego” .....	20
Konrad Szymalak	
<b>Żona terrorysty</b> - Islamiści w Polsce .....	28
<b>Z kraju i ze świata</b> - Rozrywka z Temidą .....	32
Jerzy Blaszyński	
<b>Najwyższy wymiar kary</b> - Obyczaje za miedzą .....	34
Dariusz Gizak	
<b>Kochamy las</b> - Śmiecie, żwir i ekolodzy.....	40
Jarostaw Szklarek	
<b>Niebezpieczna obsesja</b> - Natrętny adorator .....	46
Andrzej Poll	
<b>Amerykański potwór</b> - Patologia do kwadratu .....	48
Tadeusz Wójciak	
<b>Wieża w dżungli</b> - Raj zamieniony w piekło.....	56
<b>Krzyżówka z paragrafem</b> .....	63
<b>Boss w spółnicy</b> - Zagadka kryminalna .....	64

## WYDAWCA

 Przedsiębiorstwo  
Wydawnicze  
Rzeczpospolita SA

Al. Jerozolimskie 107  
02-011 Warszawa  
Tel.: (22) 429 24 00  
[www.pwrsa.pl](http://www.pwrsa.pl)

## ADRES REDAKCJI

Al. Jerozolimskie 107  
02-011 Warszawa

## SEKRETARIAT REDAKCJI

Tel.: (22) 429 24 50  
[www.e-detektyw.pl](http://www.e-detektyw.pl) e-mail: [detektyw@pwrsa.pl](mailto:detektyw@pwrsa.pl)

## REDAKTOR NACZELNY

Adam Kościelniak: [adam.koscielniak@pwrsa.pl](mailto:adam.koscielniak@pwrsa.pl)

## ZASTĘPCA RED. NACZ.

## SEKRETARZ REDAKCJI

Krzysztof Kilijanek: [krzysztof.kilijanek@pwrsa.pl](mailto:krzysztof.kilijanek@pwrsa.pl)

## REDAKTORZY

Monika Frączak: [monika.fraczak@pwrsa.pl](mailto:monika.fraczak@pwrsa.pl)  
Ewa Lewandowska: [ewa.lewandowska@pwrsa.pl](mailto:ewa.lewandowska@pwrsa.pl)  
Magdalena Gawlikowska: [magdalena.gawlikowska@pwrsa.pl](mailto:magdalena.gawlikowska@pwrsa.pl)

## ILUSTRACJE

Monika Kamińska

## SKŁAD I ŁAMANIĘ

AKAPIT, Jakub Nikodem: [jakub.nikodem@pwrsa.pl](mailto:jakub.nikodem@pwrsa.pl)

## KOLPORTAŻ ZAGRANICZNY:

USA: „EXLIBRIS” – 5708 W. Belmont Ave. Chicago, IL, 60634  
Tel.: 773/725-2005 Fax: 773/725-7392 Biuro w Warszawie,  
ul. Dęblńska 13

## REKLAMA

Tel.: (22) 429 24 00

Prenumerata: koszt 1 egzemplarza – 3,20 zł.  
Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie [www.prenumerata.ruch.com.pl](http://www.prenumerata.ruch.com.pl). Ewentualne pytania prosimy kierować pod adresem e-mail: [prenumerata@ruch.com.pl](mailto:prenumerata@ruch.com.pl) lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00 – 17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

## DRUK

Polska Press Sp. z o.o.  
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa  
Nakład: 207 010 egz.  
Oddano do druku: 08.06.2015 r.

Wydawca miesięcznika „Detektyw” ostrzega, że bezumowna sprzedaż aktualnych i archiwalnych numerów miesięcznika po innej cenie niż ustalona przez Wydawcę jest działaniem nielegalnym i skutkuje odpowiedzialnością karną.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo redagowania i zmiany tekstów. Kopiowanie i rozpowszechnianie publikowanych materiałów wymaga pisemnej zgody Wydawcy. Wydawca nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń.

© Copyright by  
„Detektyw”



# DETEKTYW

## Prowadzę, nie rozmawiam!

**K**ierowca prowadzący samochód i jednocześnie rozmawiający przez telefon komórkowy to powszechny widok na naszych drogach. Pomimo coraz surowszych kar za to przewinienie bardzo trudno wykorzystać ten nawyk. Z badań Komendy Głównej Policji wynika, że tylko jedna czwarta uczestników ruchu korzysta z zestawów głośnomówiących; prawie połowa ankietowanych rozmawia przez telefon w czasie jazdy i aż 65 procent czyta, a nawet pisze wiadomości tekstowe. Choć często nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo odbija się to na bezpiecznej jeździe. I nie jest to tylko nasz polski problem...

Amerykańska Krajowa Rada Bezpieczeństwa szacuje, że już trzeci rok z rzędu rośnie liczba wypadków samochodowych, których przyczyną były rozmowy przez telefony komórkowe. Z szacunków wynika, że 6 procent wszystkich wypadków samochodowych jest spowodowanych przez pisanie SMS-ów w trakcie jazdy, a rozmowa przez telefon była przyczyną 21 procent wypadków. We Włoszech najczęstszą przyczyną wypadków drogowych nie jest ani nadmierna prędkość, ani wypity alkohol, czy spożyte narkotyki... lecz używanie komórki w trakcie jazdy. Na nic drakońskie kary z odebraniem prawa jazdy od jednego do trzech miesięcy, czy mandat w wysokości do prawie 600 euro. Mimo tego co ósmy tamtejszy kierowca w czasie jazdy jedną ręką trzyma kierownicę, a drugą telefon komórkowy.

Pisanie SMS-ów w trakcie prowadzenia samochodu ośmiokrotnie zwiększa ryzyko wypadku, a czterokrotnie zwiększa je rozmowa przez telefon. Niebezpieczne jest nawet samo wybieranie numeru; zajmuje to przynajmniej siedem sekund i w tym czasie nasza uwaga skupiona jest na klawiaturze telefonu. Przy prędkości 100 kilometrów na godzinę oznacza to, że przejechalibyśmy z zamkniętymi oczami około 200 metrów!

Komórka w czasie jazdy samochodem nigdy nie jest sprzymierzeńcem kierowcy! ■

**Krzysztof Kilijanek**

# Połowanie na

Leon MADEJSKI

# „Kondora”

cz. 1

Mówią o nim, że to najsylniejszy haker dwudziestego wieku, dla wielu młodych ludzi to ikona hakerstwa. Wiele lat spędził za więziennymi kratami albo też ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości. Nie jest przesadą twierdzenie, że przez kilka lat obawiały się go setki tysięcy Amerykanów. Po aresztowaniu groziła mu kara kilkuset lat pozbawienia wolności, mimo że nigdy nie oskar-

żono go o czerpanie korzyści finansowych z popełnianych przestępstw. Wyrokiem sądu zakazano mu jakiegokolwiek dostępu do komputera, gdyż – jak brzmiało uzasadnienie amerykańskiej Temidy – „człowiek ten uzbrojony w klawiaturę jest groźny dla społeczeństwa”. Był to pierwszy tego typu wyrok w dziejach światowego wymiaru sprawiedliwości!



**K**evin Mitnick – bo to o nim mowa – przez wiele lat włamywał się do najważniejszych korporacji telekomunikacyjnych, kradnąc dane, siejąc postrach, ale nigdy nie zgarnął na tym procederze wielkich pieniędzy. Wręcz przeciwnie – nigdy nie pozwolił sobie na celowe niszczenie danych. Jego kryminalna kartoteka, bardziej znanego w internecie jako „Kondor”, roi się od popełnionych przez niego przestępstw. Wykrał kilka tysięcy plików z danymi i przynajmniej 20 tysięcy numerów kart kredytowych; jego łupem padły tysiące megabajtów prywatnego oprogramowania. Wdzierał się do pilnie strzeżonych central międzynarodowych korporacji, miał swobodny dostęp do tajemnic handlowych, których wartość rynkowa liczona była w dziesiątkach milionów dolarów. Z drugiej strony był i jest ekspertem w dziedzinie skomplikowanych systemów komputerowych i telefonicznych, a szczególnie najnowszych wirusów, które niespodziewanie pojawiały się w sieciach komputerowych. Do tego wszystkiego, oprócz nietuzinkowych zdolności w obsłudze sieci telefonicznych i komputerów, do perfekcji opanował sztukę zdobywania informacji potrzebnych do włamań, poprzez umiejętność pozyskiwania od ludzi pożądaných wiadomości. Mitnick nie łamał skomplikowanych algorytmów, natomiast potrafił zadawać odpowiednim ludziom odpowiednie pytania.

– *Gdybym mógł powrócić w przeszłość w maszynie czasu, najchętniej byłbym wysportowanym uczniem, grałbym w baseball i prowadził ożywione życie towarzyskie – stwierdził Kevin Mitnick kilka tygodni po aresztowaniu. – Z pewnością nie znalazłbym się na komputerach, bowiem człowieka otacza jeszcze kilka o wiele bardziej interesujących rzeczy. Zaręczam, że moje życie potoczyłoby się w inny sposób. Jednak nie zmienię minionego czasu i jestem tym, kim jestem.*

Nie bez powodu nosił tytuł „króla hakerów”. W swojej niechlubnej, przestępczej karierze udało mu się spenetrować doskonale zabezpieczone sieci takich światowych potentatów jak Nokia, Motorola, Fujitsu, Novell, CIA, NASA, a nawet FBI. Jego zdjęcie widniało na pierwszych stronach „Timesa”, „Newsweeka” i w innych wysokonakładowych gazetach. Był wrogiem publicznym numer jeden, choć nie zabił żadnego człowieka i nie ukrał ani jednego dolara! Wszyscy dobrze wiedzieli, że mają do czynienia z prawdziwą legendą.

### Nigdy nie był tytanem nauki

**K**evin Mitnick nie miał łatwego życia i na pewno nic nie zapowiadało, że będzie genialnym znawcą komputerów i informatyki. Urodził się 6 sierpnia 1963 roku w Van Nuys, w niczym niewyróżniającej się amerykańskiej rodzinie. Jego ojciec – Alan Mitnick wychowywał się w biednych dzielnicach Detroit, jako jedno z czworga dzieci w niezamożnej rodzinie żydowskiej. Tutaj udało mu się skończyć szkołę średnią, po czym za namową rodziców wstąpił do wojska, które stwarzało całkiem sporą szansę na małą stabilizację u progu dorosłego życia. Wkrótce przeniesiono go do Kalifornii. Na jednej z przepustek poznał Shelly Kramer, która była kelnerką w restauracji. Od razu przypadli sobie do gustu i – jak zgodnie przyznają

ich przyjaciele – była to gorąca miłość od pierwszego wejrzenia. On miał wtedy dziewiętnaście lat, ona była o rok młodsza. Kilka miesięcy później stanęli na ślubnym kobiercu, by wpatrzeni w siebie ślubować sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską. Rok później urodził się ich jedyny syn Kevin.

Małżeństwo dwojga młodych ludzi nie trwało jednak długo. Brak pieniędzy, przeprowadzka do wielorodzinnego budynku, który pamiętał jeszcze lata trzydzieste, były powodem coraz częstszych kłótni i awantur. Alan i Shelly coraz trudniej znajdowali wspólny język, a ich drogi coraz bardziej się rozchodziły. Wreszcie zapadła decyzja o rozwodzie, bo wspólnie doszli do wniosku, że takie dalsze życie nie ma żadnego sensu. Kevin miał wtedy zaledwie trzy lata. Został z matką, która ciężko pracowała po kilkanaście godzin na dobę w pobliskim hipermarkecie, aby zarobić na utrzymanie ukochanego malca, bo na regularne alimenty od ojca nie miała co liczyć.

Kiedy Kevin skończył pięć lat, Shelly ponownie wyszła za mąż. Tym razem wybrankiem jej serca został o piętnaście lat starszy były oficer Marynarki Wojennej, który według danych z policyjnych kartotek kilka razy dopuścił się molestowania seksualnego wobec siedmioletniego Kevina. Fakt ten był przyczyną burzliwego rozwodu z Shelly. Jej drugie małżeństwo nie trwało tym razem nawet dwunastu miesięcy. Dwa lata później wyszła za mąż po raz trzeci. I ten związek rozpadł się po niespełna półtora roku. Ciągłe zmiany domów, kolejni nowi „tatusiowie”, wreszcie codzienny brak pieniędzy, nie pozostały bez wpływu na psychikę kilkulatniego chłopczyka. Lekarze uznali go za nadpobudliwego i przepisali nawet stosowne lekarstwa, które zżywał do jedenastego roku życia.

Lista chorób wieku dziecięcego jest jednak znacznie dłuższa. Kevin cierpiał na chroniczne alergie, szczególnie po całych dniach spędzonych na pobliskich podwórkach. Swego czasu skarżył się na palpacje serca, ale lekarze, którzy go dokładnie zbadali, doszli do wniosku, że było to raczej subiektywne wrażenie, spowodowane najprawdopodobniej wynikiem ciągłego stresu i niepokoju.

Od najmłodszych lat Kevin stronił od towarzystwa rówieśników. Ci zresztą niespecjalnie chcieli się bawić z grubym (kochał jedzenie i – jak opowiadała potem w sądzie jego matka – *tort wystarczał mu na jedno posiedzenie. Taki był z niego łasuch i nie byłam w stanie nic z tym zrobić.*) Był niezaradnym, nieśmiałym chłopakiem, który wyraźnie odróżniał się od reszty rówieśników. Nie wpadał z tego powodu w zbytne kompleksy. Rychło znalazł sobie bardzo ciekawe zajęcie – całymi dniami jeździł po mieście autobusem, odkrywając w jaki sposób można oszukać elektroniczny kasownik. Później zajął się krótkofalarstwem, wreszcie poznał urok komputerów, które bardzo szybko zastąpiły mu rodzinę i przyjaciół.

Nigdy nie był tytanem nauki. Rzucił nawet szkołę średnią, aby dopiero później zdobyć G.E.D. – świadectwo eksternistycznego zdobycia wiedzy na poziomie szkoły średniej. Już jako nastolatek wyraźnie wyróżniał się na tle swoich rówieśników. Rzadko spędzał z nimi wolny czas. Kiedy znalazł się w towarzystwie koleżanek, był wyraźnie zdenerwowany, wręcz

onieśmielony. Zamykał się w swoim komputerowym świecie, który stawał się dla niego coraz większym żywiołem. Codzienne, wielogodzinne sesje z klawiaturą komputera stawały się normalnym elementem jego życia.

\*\*\*

**C**o zatem zdecydowało o tym, że zwykły, szary chłopak, pochodzący z biednej, rozbitej rodziny, stał się guru światowego hakerstwa? Sam Mitnick zadawał sobie to pytanie... i odpowiedzi na nie udzielił w swojej autobiografii „Sztuka podstęp”: *Ścieżka, na którą wstąpiłem, miała zapewne swój początek w dzieciństwie. Byłem beztroskim, ale znużonym dzieckiem. Dorastając w San Fernando Valley, miałem całą młodość na zwiedzanie Los Angeles. W wieku 12 lat znalazłem sposób na darmowe podróżowanie po całym okręgu Los Angeles. Któregoś dnia, jadąc autobusem, odkryłem, że układ otworów na bilecie tworzony przez kierowcę podczas kasowania oznacza dzień, godzinę i trasę przejazdu autobusu. Przyjaźnie nastawiony kierowca odpowiedział na wszystkie moje dokładnie przemyślane pytania, łącznie z tym, gdzie można kupić kasownik, którego używa. Bilety te pozwalały na przejazdki i kontynuowanie podróży. Wymyśliłem wtedy, jak ich używać, aby jeździć wszędzie za darmo. Zdobycie nieskasowanych biletów to była pestka: kosze na śmieci w zajezdniach autobusowych pełne były nie do końca zużytych bloczków biletowych, których kierowcy pozbywali się na koniec zmiany. Mając nieskasowane bilety i kasownik, mogłem sam je oznaczać w taki sposób, aby dostać się w dowolne miejsce w Los Angeles. Wkrótce znałem wszystkie układy tras autobusów na pamięć. To wczesny przykład mojej zadziwiającej zdolności do zapamiętywania pewnego rodzaju informacji. Do dzisiaj pamiętam numery telefonów, hasła i tym podobne szczegóły – nawet te zapamiętane w dzieciństwie. Innym moim zainteresowaniem, jakie ujawniło się dość wcześnie, była fascynacja sztuczkami prestidigitatorskimi. Po odkryciu, na czym polega jakaś sztuczka, ćwiczyłem tak długo, aż ją opanowałem. W pewnym sensie to dzięki magii odkryłem radość, jaką można czerpać z wprowadzania ludzi w błąd.*

### Miłe złego początku

**W**1978 roku piętnastoletni Kevin przypadkowo skontaktował się dzięki krótkofalówce z 18-letnim Levisem de Payne. Obu młodzieńców oprócz krótkofalarstwa łączyła także druga pasja – nielegalne, bezpłatne połączenia telefoniczne, dzięki wykradzionym kodom teleinformatycznym.

Dla amatorów bezpłatnego telefonowania koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia to było prawdziwe eldorado. W tamtych czasach jeszcze nikt nie zaprzętał sobie głowy hakerami, nikt nie monitorował dostępu do sieci telefonicznej, nie było skomputeryzowanych łącznic. Hakerzy (a nie było ich jeszcze wtedy zbyt wielu), byli praktycznie bezkarni i mogli za darmo dzwonić w dowolne miejsce na świecie. Na początku



lat osiemdziesiątych operatorzy telekomunikacyjni zaczęli wymieniać w USA stare centrale analogowe na nowszej generacji urządzenia cyfrowe. Dla Kevina, Levisa i grupki ich kilku przyjaciół (którzy byli znani w środowisku jako „Roscoe of Roscoe”) nie było to żadnym problemem. Wystarczyło kilka tygodni, aby udało im się pokonać o wiele bardziej nowoczesne zabezpieczenia elektroniczne. Zmienił się charakter ich działalności. Bezpłatne rozmowy telefoniczne były marginesem ich działalności. Coraz częściej komputery były ze sobą połączone za pomocą tzw. sieci „Arpanet”, poprzedniczki dzisiejszego internetu.

Przygoda Mitnicka z hakerstwem rozpoczęła się dość niewinnie, a pierwsze darmowe połączenia telefoniczne i domowe kasowniki biletów nie wróżyły jeszcze popularności, z jaką przyszło mu się zmagać kilkanaście lat później. Pierwsze sukcesy hakerskie motywowały go jednak do coraz to nowych wyzwań. Z czasem doszedł do takiej perfekcji, że włamywanie się do sieci najslynniejszych operatorów komórkowych i central telefonicznych nie stanowiło już dla niego problemu.

Po raz pierwszy Kevin włamał się do systemu informatycznego swojej szkoły Monroe High School w Los Angeles. Chociaż mógł zmienić swoje stopnie (a nie były one najlepsze), nie zrobił tego. Miał wtedy zaledwie 17 lat. Najprawdopodobniej wtedy też zaczął używać pseudonimu „Kondor”, który zaczerpnął ze słynnego filmu sensacyjnego „Trzy dni Kondora”.

Kilka miesięcy później Kevin wraz z de Paynem postawili sobie prawdziwie wielki cel – postanowili włamać się do głównego komputera firmy Pacific Bell, mieszczącego się w samym centrum Los Angeles. Dokładnie znali parametry znajdujących się tam urządzeń, imiona, nazwiska i funkcje zatrudnionych tam pracowników. Informacje te, wbrew pozorom, nie były wynikiem przebiegłego hakerstwa. Wystarczyło grzebanie w firmowym śmietniku, do którego niemal codziennie wyrzucano dziesiątki kilogramów

makulatury. Widok dwójki chłopaków grzebiących na wysypisku nie był dla nikogo żadnym zaskoczeniem, przecież w mieście było tylu żebraków i włóczęgów. Oni doskonale wiedzieli, czego szukać. Z fragmentów różnych dokumentów budowali sobie obraz firmy i funkcjonującego w niej systemu informatycznego.

– *Włamanie się do sieci komputerowych dużych firm nie jest dla mnie specjalnym problemem* – opowiadał kilkanaście lat później o początkach swej działalności na jednej z list dyskusyjnych w internecie. – *Wystarczyło zajrzeć do śmieci, od tego z reguły zawsze zaczynałem, aby dowiedzieć się czegoś o interesującej mnie firmie, znaleźć jej schemat organizacyjny. Pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych zawsze przesiadywałem śmieci przedsiębiorstw telefonicznych. Znajdowałem ich podręczniki, listy pracowników. W 1981 roku znalazłem w śmieciach hasła do jednego z najlepiej strzeżonych komputerów. Wprowadziłem wydruk był podarty, ale ktoś uparty i zdeterminowany mógł zrobić z tego odpowiedni użytek...*

Teraz do pełni szczęścia brakowało im jedynie spisu kodów, dzięki którym mogliby się swobodnie poruszać po systemach komputerowych sieci Bella... ale i na to znaleźli sposób.

### Strážnicy nie wyczuli podstępu

**W** pewne niedzielne popołudnie Kevin ubrał się w swój najlepszy garnitur i wraz z Levisem podjechali taksówką pod siedzibę Pacific Bell. Pewnym krokiem podeszli do głównego wejścia i zaczęli rozmowę ze strážnikami. Idealnie odegrali rolę zirytowanych pracowników, którym szef (tu wymienili odpowiednie nazwiska) kazał przyjść w niedzielne popołudnie, aby pilnie przygotowali jakies dokumenty na jutrzejsze posiedzenie zarządu.

– *Umówiłem się na randkę z narzeczoną, a zamiast romantycznego spaceru czeka mnie siedzenie nad stertą papierów* – użalał się sam nad sobą Kevin przed strážnikami ochrony budynku. – *Niech to szlag! Ale co miałem powiedzieć?! Że nie mam czasu? No, dosyć tego gadania, czas zabrać się do roboty. Poproszę klucz od pokoju 208 i 310. A może któryś z kolegów jest już na górze...*

Kevin doskonale odegrał swoją rolę. Strážnicy nie wyczuli żadnego podstępu, zresztą bardziej interesował ich chyba program telewizyjny niż słuchanie opowieści tego chłopaka. Młodzieńcy wpisali się do księgi wejścia, odbili karty zegarowe, wzięli klucze i windą wjechali na trzecie piętro, gdzie mieściło się m.in. pomieszczenie centrum informatycznego Pacific Bell. Po niespełna półtorej godziny intensywnych poszukiwań wyszli z bardzo cennymi łupami. W ręku trzymali bazy danych kilku amerykańskich firm telekomunikacyjnych i listę kodów wejściowych do systemu informatycznego Pacific Bell. Nie niepokojeni przez nikogo zjechali na dół, oddali klucze, pożegnali się ze strážnikami i wyszli na ulicę.

Kradzież niezwykle cennych danych wyszła na jaw dopiero w poniedziałkowe popołudnie. Wprowadzono sporządzone portret pamięciowy dwójki wyjątkowo przebiegłych młodzieńców, którzy podawali się za pracowników firmy, ale był on na tyle ogólnikowy, że

nie sposób było na jego podstawie wytypować wyjątkowo przebiegłych złodziei.

Kevin i Levis nie zdążyli nawet zrobić użytku ze zdobytych danych. Policja już od dawna interesowała się ich działalnością, tym bardziej że byli podejrzewani o kilka drobniejszych przestępstw. Pograżające ich zeznania złożyła jedna z koleżanek, członkini grupy „Roscoe of Roscoe”, która wiedziała o kradzieży w budynku Pacific Bell. Kevin został wezwany na przesłuchanie. Policja, a później sąd wzięli pod uwagę dotychczasową niekaralność, przyznanie się do przestępstwa i wykazaną skruchę. Został skazany na rok nadzoru kuratora sądowego. Na tak łagodny wyrok na pewno wpłynęła doskonała obrona jego adwokata, który usiłował przekonać sędziego, że ma do czynienia nie tyle z groźnym przestępcą, co z młodym inteligentnym chłopakiem, który trochę „zagalopował” się w swoich zainteresowaniach informatycznych.

Sąd dał wiarę tym argumentom – ale najbliższa przyszłość miała zweryfikować to przekonanie. Kilka miesięcy później wraz z młodszym o dwa lata Lenny di Cicco, został przyłapany na kradzieży (za pośrednictwem modemu) dokumentacji centrali telefonicznych, czytaniu prywatnej poczty elektronicznej i pirackim buszowaniu po „Arpanecie”. Kevin złamał warunki dozoru i dlatego tym razem sąd nie miał już dla niego żadnego pobjaźania.

Wyrok brzmiał: sześć miesięcy pozbawienia wolności. Po raz pierwszy w życiu trafił do więzienia dla młodocianych przestępców w Stockton w Kalifornii. Wkrótce zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Sędziemu, który wydał ten wyrok oraz kuratorowi młodego hakera w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach wyłączono telefon, zaś w firmie telefonicznej zaginęły wszelkie informacje o tych dwóch klientach.

### Próbował zerwać z grzechami młodości

**O** sadzony w więzieniu sprawował się bardzo dobrze. Kilka razy został nawet wyróżniony przez wychowawców, którzy namówili go do współpracy z policją z Los Angeles przy nagrywaniu szkoleniowej kasety wideo na temat zabezpieczeń komputerowych. W więzieniu po raz pierwszy został poddany badaniu przez zespół psychologów. Z zachowanych akt wynika, że „został uznany za młodzieńca z osobowością o nieuspołecznionym, nieagresywnym charakterze”. Z drugiej jednak strony badania nie wykazały żadnych śladów psychozy, stwierdziły jednak u Kevina minimalny stopień zdolności wydawania sądów, brak zdolności przewidywania i niedojrzałość psychiczną.

Już wtedy w środowisku kalifornijskich hakerów, niespełna dwudziestoletni Kevin Mitnick cieszył się uznaniem i poważaniem. Krążyła o nim fama, że nie ma takich zabezpieczeń, których nie byłby w stanie ominąć. Swego czasu próbował nawet wymazać dane o swojej przeszłości kryminalnej z policyjnej kartoteki.

Wiele wskazywało na to, że po wyjściu na wolność Kevin zamierza zerwać z grzechami młodości. Doskonale grał zresocjalizowanego młodzieńca, a może naprawdę miał takie zamiary? Tylko on jeden zna prawdę. Faktem jest, że zaczął uczciwą, legalną

pracę u swoich przyjaciół jako pracownik biurowy. Prowadził księgowość, załatwiał rozliczne sprawy w biurach i urzędach. Niestety, ku jego nieszczęściu coraz częściej pracował przy klawiaturze komputera. Odezwiał się w nim niespokojny duch hakera. Kilka miesięcy później znalazł się na liście podejrzanych o zdobycie nieuprawnionego dostępu do sprawozdań finansowych jednej z lokalnych firm leasingowych i o używanie fałszywych kodów dostępu umożliwiających wykonywanie bezpłatnych połączeń międzymiastowych i międzynarodowych. Zebrane przeciwko niemu dowody winy były na tyle przekonujące, że sędzia bez większego wahania podpisał nakaz aresztowania Kevina Mitnicka. Ale ten jakby się tego spodziewał, bowiem kilka dni wcześniej niespodziewanie zniknął. Ani rodzina, ani przyjaciele, ani dotychczasowy pracodawca nie wiedzieli, co się z nim stało. Zapadł się, jak kamień w wodę.

Ślad po Mitnicku urwał się na kilkanaście miesięcy. Przynajmniej część tego czasu spędził w północnej Kalifornii, gdzie pod przybranym nazwiskiem uczęszczał na zajęcia w Butte Community College. Podobno kilka miesięcy spędził nawet w Izraelu i Wielkiej Brytanii. Tak przynajmniej spekulują fani „Kondora”. Po powrocie zgłosił się wraz z adwokatem na policję. Tym razem sprawa rozeszła się po kościach.

### Mówimy o zwykłej kolacji i o niczym więcej...

**D**wudziestodwuletni Kevin stwarzał pozory, jakby chciał definitywnie zerwać z hakerstwem i stać się prawym obywatelem Stanów Zjednoczonych. To już druga taka próba w jego życiu.

★ ★ ★

**J**esienią 1985 roku zapisał się na kurs w Centrum Kształcenia Komputerowego w Los Angeles. Zapyta ktoś, co zdolny haker może robić na takich zajęciach?! Kevin wprawdzie posiadał wiedzę o łamaniu systemów komputerowych, ale miał trudności z obsługą trudniejszych arkuszy kalkulacyjnych, pisaniem tzw. nakładek prostych programów biurowych – tego wszystkiego, co na co dzień potrzebne jest np. w pracy asystenta biurowego. Kevin bardzo poważnie przykładał się do zajęć. Wykładowcy zapamiętali go jako jednego z najpilniejszych uczniów, którego nigdy nie trzeba było namawiać do nauki. Wręcz przeciwnie: był bardzo dociekliwy, stawiał podczas wykładów trudne pytania, które często wykraczały poza zakres przerabianego materiału.

W Centrum Kevin spotkał także swoją przyszłą żonę, Bonnie Vitello. Poznali się zupełnie przypadkowo. Pewnego dnia, kiedy siedział w pracowni komputerowej, za pomocą poczty elektronicznej zaczął rozmowę z niewysoką, poważną, atrakcyjną blondynką siedzącą w przeciwległym końcu sali. Po kilku nic nie znaczących zdaniach niespodziewanie zaproponował jej wspólną kolację jeszcze tego samego wieczoru.

Bonnie w pierwszym momencie była bardzo zaskoczona taką propozycją. Jeszcze nigdy w życiu żaden mężczyzna po kilku minutach rozmowy nie składał



jej takiej propozycji. Zresztą akurat nie miała ochoty na nowe znajomości. Miała już za sobą jedno niedane małżeństwo zakończone rozwodem; za kilka tygodni miała ponownie stanąć na ślubnym kobiercu. Oczywiście, że odmówiła!

Kevin – kiedy kwadrans później znaleźli się na korytarzu – jednak nadal nalegał na spotkanie. Bonnie przez dłuższą chwilę namyślała się. Coraz bardziej intrygował ją młodszy o dwa lata chłopak. Na pewno nie był typem podrywacza, który szuka panienci na szybki numererek. Bo nie miał wyglądu filmowego amanta, daleko mu także było do modeli z najnowszych żurnali mód. Był niski, otyły, nigdy nie dbał o modny strój. A jednak wyróżniał się na tle innych chłopaków w szkole – był miły, inteligentny, poważny i dobronudszny.

– *No dobra, przystojniaczkę* – poklepała go po przyjacielsku po ramieniu. – *Spotkajmy się w przyszłym tygodniu. Bez żadnych podtekstów. Tylko żebyś nie robił sobie żadnych nadziei. Mówimy o zwykłej kolacji i o niczym więcej...*

– *Oczywiście, mam na myśli tylko wspianą kolację u boku takiej dziewczyny jak ty...*

Była kolacja. Najpierw jedna, potem druga, wreszcie zaczęli się spotykać, nie tylko podczas wieczornych posiłków po długich i wyczerpujących zajęciach w Centrum. Kobieta była coraz bardziej oczarowana kolegą z zajęć. Nagle odkrywali, że oprócz pasji komputerowych zaczyna ich łączyć coś więcej. Nie minął miesiąc znajomości, a Kevin zamieszkał u Bonnie w jej małym mieszkanku w Thousand Oaks. Bonnie – co oczywiste w tej sytuacji – zerwała niedawne zaręczyny. Nie miała czego żałować, bowiem po dwóch miesiącach mieszkania pod wspólnym dachem Kevin kupił jej pierwszy w swoim życiu pierścienek zaręczynowy. Zaczęli myśleć o dacie ślubu i planach na przyszłość.

Przygotowania do uroczystości weselnych przebiegały pełną parą. Zarezerwowana była już restauracja, gdzie miało się odbyć skromne przyjęcie dla

garstki przyjaciół, w szafie wisiały już kreacje panny i pana młodego. Wydawało się, że nic nie jest w stanie zakłócić tej idyllicznej atmosfery...

### Trzeba przesunąć datę ślubu

Niespodziewanie do ich mieszkania na tydzień przed ślubem zapukali policjanci. Mieli nakaz przeszukania lokalu w związku z toczącym się śledztwem w sprawie złamania systemu komputerowego jednej z lokalnych firm. Jedynym podejrzanym w tej sprawie był oczywiście Kevin Mitnick.

Policjanci zabezpieczyli stojący w pokoju komputer, modem, dyskietki, podręczniki komputerowe i większość podręcznych notatek leżących na biurku. Kevin został przewieziony na posterunek policji w celu złożenia zeznań. Tam przedstawiono mu dowody, z których niezbiec wynikało, że w ostatnim czasie wszedł do NCSC – Narodowego Centrum Bezpieczeństwa Komputerowego.

Scigania Mitnicka szczególnie mocno domagali się szefowie firmy komputerowej Santa Cruz Operation, zajmującej się pisaniem skomplikowanych programów komputerowych i tworzeniem systemów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo lokalnych sieci informatycznych. Santa Cruz Operation wyprodukowało m.in. system operacyjny UNIX. Włamanie się „Kondora” do ich sieci (administratorzy podejrzewali, że udało mu się wykraść niekomercyjną wersję UNIX-a) poważnie naruszyło reputację firmy. Gdyby informacja ta dotarła do opinii publicznej, groziło to nie tylko spadkiem zaufania i utratą wiarygodności ze strony klientów, a przede wszystkim obniżeniem notowań na giełdzie. A na to nie mogli sobie pozwolić. Zgodzili się nawet na niepodawanie sprawy do sądu, w zamian za szczegółowe informacje o metodzie włamania. Kevin przystał na tę „propozycję nie do odrzucenia”. Doszło do ugody, dzięki czemu uniknął rozprawy sądowej.

Afera z Santa Cruz Operation przesunęła datę ślubu. Kevin i Bonnie pobrali się wreszcie 9 czerwca 1987 roku. Zamiast spotkania w restauracji odbyło się kameralne przyjęcie w mieszkaniu rodziców panny młodej. Młodzi, aby zaoszczędzić trochę pieniędzy na zakup mebli i jako takie urządzenie mieszkania, przez krótki okres zdecydowali się zamieszkać w małym mieszkaniu spółdzielczym w Panorama City u matki Kevina, która niezmiennie od lat pracowała jako kasjerka w pobliskim supermarkecie. Bonnie pracowała w mało znanej firmie komputerowej, zaś Kevin... przez całe dni szukał jakiejś ciekawej oferty pracy. Przeglądał rubryki ogłoszeń w codziennej prasie, dzwonił, chodził po biurach pośrednictwa pracy, pisał i wysyłał po kilkanaście życiorysów dziennie. W załączonych dokumentach szczegółowo wyjaśniał gdzie i jakie zdobył doświadczenie, wymieniał kilkanaście systemów operacyjnych i programów, które nie kryły przed nim żadnych tajemnic. W rubryce „cele” wpisywał „kariera programisty komputerowego”. Wydawało się, że Kevin próbuje zbudować sobie szczęśliwą przyszłość i robił to z prawdziwym przekonaniem.

### Zobaczmy, co da się dla ciebie zrobić!

Znalezienie pracy na pełnym etacie nie było takie proste. Wprawdzie oferowano mu różne, z reguły mało płatne, jednorazowe zlecenia, ale tego typu oferty w ogóle go nie interesowały. Cały czas szukał i nie tracił nadziei. W końcu pojawiła się szansa, że zostanie zatrudniony jako konsultant do spraw elektronicznych przelewów bankowych w Security Pacific Bank. Przyszli szefowie obiecywali wysokie zarobki – 34 tysiące dolarów rocznie. Miała to być jego pierwsza tak dobrze płatna praca w życiu. Niestety, w przeddzień rozpoczęcia pracy zrezygnowano z jego oferty. Powodem była karalność za przestępstwa komputerowe.

Kolejną deską ratunku był niejaki Donn Parker, konsultant do spraw bezpieczeństwa komputerowego w firmie „SRI”, nadzorujący zespół naukowców do spraw nowych technologii informatycznych. Parker był jednym z bardziej liczących się ekspertów w dziedzinie badań nad przestępczością komputerową, prowadził też różne prace zlecane mu przez Departament Sprawiedliwości. Z drugiej strony był on swoistym autorytetem dla wielu młodych hakerów. Nic dziwnego, że jeśli któryś z nich pozytywnie zaskoczył go swoją wiedzą, miał duże szanse na znalezienie dobrej pracy w branży informatycznej.

Kevin właśnie na to liczył, kiedy zaczął wykręcać jego numer telefonu.

– Cześć Parker. Z tej strony Mitnick. Szukam pracy konsultanta do spraw bezpieczeństwa danych. Nie słyszałeś o jakichś ciekawych propozycjach – głos „Kondora” był uprzejmy i od samego początku wzbudzał zaufanie.

– Nie, raczej nie!

– A może u was w SRI znajdzie się dla mnie coś ciekawego – Mitnick nie dawał jednak tak łatwo za wygraną.

– Wróć do szkoły, zdobądź dyplom z nauk komputerowych albo z administracji handlowej. Potem znajdź posadę, popracuj tam przez parę lat, zdobądź zaufanie innych ludzi i postaraj się im udowodnić, że jesteś poważnym i odpowiedzialnym człowiekiem, na którym można polegać nawet w najbardziej krytycznym momencie. Wtedy będziemy mogli porozmawiać i zobaczymy, co się da dla ciebie zrobić.

Kevin przyjął jego odmowę bez żadnych dalszych komentarzy, pożegnał się i odłożył słuchawkę. Nie dało się jednak ukryć, że był wściekły. Tylu jego znajomym, którzy nie dorównywali mu wiedzą komputerową, udało się już dawno znaleźć jakieś interesujące zajęcie! Tylko on jeden miał z tym tak duże kłopoty, będące wynikiem hakerskiej sławy, jaką – zasłużenie czy może jeszcze niezasłużenie – cieszył się w światku maniaków komputerowej klawiatury. Sława sławą, ale przecież do codziennego życia potrzebne są pieniądze. Nie mógł być cały czas na garnuszku swojej żony i matki, które na razie bez słowa łożyły na jego utrzymanie. Ale męska duma kazała mu jak najprędzej zmienić tę upokarzającą sytuację.

Codziennie kłopoty związane z bezowocnym poszukiwaniem pracy nie zabiły miłości do komputera. Razem ze swoim serdecznym przyjacielem Lenny



di Cicco spędzał przed ekranem monitora po kilka godzin dziennie, zaś niektóre weekendy były okazją do o wiele dłuższych maratonów.

Od pewnego czasu bezkarnie buszowali w wewnętrznej sieci komputerowej potentanta w branży informatycznej Digital Equipment. Ich marzeniem było rozszyfrowanie kodu dostępu do systemu operacyjnego VMS, jednego z najbardziej cenionych trofeów hakerskich, który instalowany był na milionach komputerów na całym świecie – bankach, instytucjach badawczych, uniwersyteckich, a nawet w niektórych komputerach systemu kontroli powietrznej. Kod VMS był swoistym elektronicznym kluczem do niemal wszystkich cybernetycznych zamków.

\*\*\*

Po setkach, a może tysiącach prób nareszcie udało się. Jak później zgodnie stwierdzili fachowcy, był to prawdziwy majstersztyk. Mitnick pracował jednocześnie na dwóch różnych komputerach, które połączone były do różnych numerów telefonicznych... w różnych miastach. Jednego z nich używał do łamania kodów i systemów dostępu, za pomocą drugiego – skutecznie gmatwał szyki śledzącym go specjalistom Digital Equipment do spraw zabezpieczenia. Ci ostatni długo nie mieli szans, aby z nim wygrać, bowiem Mitnick na bieżąco czytał ich pocztę elektroniczną, dzięki czemu dowiadywał się o kolejnych podejmowanych przeciwko niemu działaniach. Najpierw bezskutecznie próbowano osaczyć go poprzez ustalenie numeru telefonu, z którego korzysta haker. Nie było z tym większych trudności... tyle tylko, że okazało się, iż nielegalnie korzysta on z linii telefonicznej należącej do parlamentu w Malibu. Wydawało im się, że są bezsilni. Kevin ponownie triumfował.

Nie wiadomo jak długo trwałoby jego hakerstwo, gdyby nie nielojalność najbliższych przyjaciół, z którymi łamał najtrudniejsze zabezpieczenia i włamywał się nawet do rządowych serwerów. Najbardziej zawiódł się na Lenny di Cicco, z którym dokonał kilku poważnych włamań. Lenny – jak piszą internetowi biografowie Mitnicka – z czasem poznawał najgorsze cechy charakteru „Kondora”: nie tylko podłość, mściwość, żądzę odwetu na ludziach, którzy próbowali go oskarżać, ale także doprowadzającą do furii zdolność do kłamstwa na każdym kroku, przy jednoczesnym wymaganiu całkowitej szczerości oraz prawdomówności od innych. Di Cicco czuł, jak coraz bardziej uzależnia się psychicznie od Kevina. Ten ostatni narzucał mu się w pracy, stale pożyczał pieniądze i zawsze „zapominał” o ich zwrocie. Żądał, by di Cicco wpuszczał go potajemnie do biura, aby wieczorami i nocami mógł bezkarnie buszować po informatycznej sieci. Kiedy któregoś dnia di Cicco zabronił mu korzystania z firmowych komputerów, wściekły Mitnick zadzwonił do jego szefa, przedstawił się jako agent Służby Dochodów Państwa i zażądał... zablokowania wypłacania pensji dla di Cicco, w związku z toczącym się przeciwko niemu śledztwem, w którym podejrzany jest o machinacje podatkowe!

Di Cicco powoli miał tego wszystkiego dosyć. Co gorsza nie wiedział, w jaki sposób uwolnić się od



wyjatkowo natrętnego przyjaciela, który coraz bardziej ingerował nie tylko w jego życie zawodowe, ale także osobiste. Złożył do FBI i Digital Equipment donosy, w których szczegółowo poinformował o hakerskiej działalności Kevina Mitnicka. Zaczął z nimi współpracować, aby udało się zebrać ewidentne dowody przestępczej działalności „Kondora”. Był nawet przy arestowaniu Mitnicka przez FBI.

– *Dlaczego mi to zrobisz?* – zapytał z wyrzutem Kevin, patrząc prosto w oczy di Cicco.

– *Bo ty nie miałeś żadnych skrupułów. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, a od pewnego czasu traktowałeś mnie gorzej niż niewolnika. Próbowałem zmienić ten układ, ale nic nie wskórałem. Byłem bezradny. Sorry, Kevin...*

Mitnicka umieszczono w Federalnym Zakładzie Karnym Terminal Island w San Pedro. Został osadzony w celi o szczególnym nadzorze, bez możliwości zwolnienia za kaucją, co było i nadal jest często praktykowane przy tego rodzaju przestępstwach.

– *Ten człowiek uzbrojony w klawisze jest olbrzymim zagrożeniem dla bezpieczeństwa publicznego* – stwierdził jeden z urzędników sądowych w Los Angeles.

– *Kevin Mitnick jest bardzo niebezpieczny i musi być trzymany z dala od komputera* – skomentował decyzję sądu asystent rzecznika Stanów Zjednoczonych. ■

**Leon Madejski**

Od redakcji: dokończenie w następnym numerze.

# NIEOCZEKIWANY

Tomasz ŁUKASZEWICZ

# SPADEK

Historia perypetii Lucyny Z. to żywy dowód na potwierdzenie dwóch tez: pierwszej, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciu i drugiej (która ukształtowała europejski system prawodawstwa) – że nieznanomość prawa szkodzi...



**D**ziewczyna w dzieciństwie wychowana była przez matkę. Ojciec opuścił rodzinę, gdy jego córka miała sześć lat i wybrał życie bez zobowiązań, początkowo u boku innej kobiety, później u boku swojej największej namiętności – butelki alkoholu. Mężczyzna nigdy nie interesował się córką, nigdy też dobrowolnie nie zapłacił na jej rzecz ani złotówki (z zasądzonych przez sąd alimentów). W praktyce po wyprowadzce ojca z domu Lucyna Z. widziała go nie więcej niż kilka razy, wliczając w to jego pogrzeb, który osobiście zorganizowała.

Henryk Z. zmarł w wieku 65 lat, pośrednią przyczyną jego śmierci było nadciśnienie, a bezpośrednio nieleczona choroba alkoholowa. Lucyna Z. nie знаła szczegółów z życia ojca ani jego przeszłości. Będąc jedynaczką, siłą rzeczy po śmierci matki, była jedyną osobą, która mogła zorganizować pochówek ojca i towarzyszyć mu w jego ostatniej drodze. Z rzeczy materialnych po ojcu zostało niewiele, w praktyce to, co miał na sobie w chwili śmierci. Henryk Z. nigdy nie troszczył się o rzeczy doczesne, a do życia potrzebne było mu niewiele: łóżko i butelka alkoholu – jedno i drugie znajdował u swojego znajomego, w którego domu pomieszkiwał w zamian za pomoc w gospodarstwie rolnym.

Lucyna Z. nie mając wcześniej jakiegokolwiek kontaktu z ojcem nie rozpacziała po jego śmierci i dość szybko przeszła do porządku dziennego nad faktem jego zgonu. W rzeczywistości wymazała ze swojej pamięci jego obraz i wszystko, co z nim związane i pewnie nigdy więcej, nie licząc corocznego święta zmarłych, nie wspominałaby jego osoby, gdyby nie okoliczności, których stała się bezpośrednim uczestnikiem.

★ ★ ★

**J**edną z najgorszych chwil w życiu Lucyny Z. był dzień, w którym odebrała z poczty awizowany list polecony, którego nadawcą był komornik. Z treści korespondencji wynikało, że: zajęty został rachunek bankowy Lucyny Z., jej wiarygodności z tytułu wynagrodzenia u pracodawcy i posiadany przez kobietę nie pierwszej nowości samochód osobowy. Podstawą zajęcia komorniczego był nakaz zapłaty w sprawie cywilnej zapadły przeciwko jej ojcu (za jego życia) zobowiązujący Henryka Z. do zapłaty ponad trzydziestu tysięcy złotych, dodatkowo z odsetkami ustawowymi, kosztami sądowymi i kosztami komorniczymi.

Lucyna Z., po śmierci ojca, zdając sobie sprawę, że jego styl życia nie pozwoliłby mu na zgromadzenie jakiegokolwiek majątku, nie przedsięwzięła jakichkolwiek kroków mających na celu uregulowanie kwestii spadkowych (nie mając świadomości, że spadek to nie tylko aktywa ale również długi). Konsekwencją upływu (w stosunku do jedynej spadkobierczyni) terminu do złożenia oświadczenia o odrzuceniu spadku po zmarłym ojcu było wstąpienie córki w prawa i obowiązki po zmarłym przodku,

w tym przejęcie jego długów, także tych zasądzonych feralnym nakazem zapłaty.

Lucyna Z. nie mogąc negocjować z komornikiem (działającym na wniosek wierzyciela) warunków i perspektyw ewentualnej częściowej spłaty długu postanowiła porozumieć się z samym wierzycielem (któremu jej ojciec winny był pieniądze) i na rzecz którego powinna być uregulowana należność wynikająca z nakazu zapłaty. Wierzycielem tym okazała się firma udzielająca pożyczek prowadzona w formie jednoosobowej działalności gospodarczej przez Zenona B. Rozmowa z właścicielem firmy pożyczkowej odkryła nowe fakty z życia Henryka Z. Według dokumentów, którymi dysponował przedsiębiorca, ojciec Lucyny Z. kilkakrotnie zaciągał „chwilkówki” w jego firmie. Czasami spłacał dług, częściej jednak tego nie robił.

Od pożyczonych kwot narastały lichwiarskie odsetki i dług stawał się dla pożyczkobiorcy niemożliwy do spłacenia. Zenon B. stwierdził, że pieniądze potrzebne były ojcu Lucyny Z. na kolejny z jego nałogów, jakim miał być hazard. Właściciel firmy pożyczkowej nie chciał słyszeć o umorzeniu części długu lub samych odsetek. Jak stwierdził, „umów należy przestrzegać”. Co ciekawe, przedsiębiorca parający się udzielaniem chwilówek nie chciał pokazać jedynej (i nie do końca dobrowolnej) spadkobierczyni Henryka Z. umów zawartych przez jej ojca z firmą pożyczkową. Tłumaczył się brakiem czasu na grzebanie w archiwum. Lucyna Z. nie mając nic do stracenia, czując na karku oddech rosnącego z każdym dniem długu (odsetek ustawowych naliczanych za każdy dzień zwłoki), postanowiła poprzeć akta sądowe w sprawie, w której zapadł obciążający jej ojca, a w obecnej chwili jej osobę – nakaz zapłaty.

Jako wyłączna spadkobierczyni po zmarłym ojcu otrzymała dostęp do archiwalnych akt sprawy sądowej, w których znajdowały się poświadczone za zgodność z oryginałem, przez pełnomocnika procesowego, kopie trzech egzemplarzy umów zawartych przez ojca z firmą pożyczkodawcy. Kobieta aparatem fotograficznym w telefonie komórkowym zrobiła zdjęcia tych umów, celem zapoznania się z ich treścią w domowym zaciszu. Umowy pożyczek zostały zawarte w czasie, kiedy nie istniały jeszcze ustawowe ograniczenia w wysokości oprocentowania sumy dłużnej (stąd też odsetki były lichwiarskie). Nie to jednak wzbudziło uwagę Lucyny Z., lecz daty zawarcia dwóch umów pożyczek. Z dokumentów pozostałych po ojcu w jego stałym miejscu zamieszkania wynikało, że przeszedł on operację usunięcia jednej nerki, zabieg miał komplikacje i ojciec przebywał w szpitalu przeszło półtora miesiąca. Właśnie w trakcie tego pobytu w szpitalu zostały zawarte dwie umowy pożyczki na kwoty opiewające łącznie na ponad trzydzieści tysięcy złotych. Podpisy ojca na tych egzemplarzach umów były wyraźne i zbliżone do podpisu figurującego na pierwszej z umów (zawartej w innym czasie). Pytanie, po co obłożnie choremu i hospitalizowanemu w placówce NFZ

## PAMIĄTKA PO TATUSIU



człowiekowi potrzebna była kwota trzydziestu tysięcy złotych, i jak umowy mogły zostać zawarte w biurze firmy udzielającej chwilówek (co wynikało z ich treści) w czasie, gdy pożyczkobiorca po usunięciu nerki nie mógł się ruszać ze szpitalnego łóżka, nie mówiąc o przemieszczaniu się ze szpitala do odległej o ponad pięćdziesiąt kilometrów siedziby firmy pożyczającej pieniądze.

\*\*\*

**N**ie informując o uzyskanym wglądzie do akt sprawy sądowej, w efekcie której zapadł nakaz zapłaty i swoich wątpliwościach związanych z datami zawarcia umów pożyczek przez swojego ojca, Lucyna Z. po raz drugi spotkała się z Zenonem B. i oświadczyła, że spłaci dług pod warunkiem uzyskania wglądu do oryginałów umów zawartych przez ojca i wypożyczenia ich treści (za pokwitowaniem) na okres dwóch tygodni. Zenon B.

nie chciał się na to zgodzić, dopóki Lucyna Z. nie zaofiarowała zostawienia w zastaw swojego auta i tak de facto zajętego przez komornika na poczet spłaty długu. Przedsiębiorca parający się pożyczkami „wypożyczył” córce swojego dłużnika oryginalne trzy egzemplarze umów pożyczki. Lucyna Z. wraz z otrzymanymi dokumentami udała się do biegłego grafologa z prośbą o porównanie próbek pisma ojca znalezionych w jego rzeczach osobistych z podpisanymi pod treścią trzech umów. Grafolog porównując podpisy pod treścią umów z innymi próbkami pisma Henryka Z. stwierdził, że podpisy pod dwiema z umów, z ogromną dozą prawdopodobieństwa, nie należą do Henryka Z. Przypadkiem były to umowy datowane na czas, kiedy Henryk Z. przebywał w szpitalu po zabiegu usunięcia nerki.

Lucyna Z. dysponując uzyskaną wiedzą chciała złożyć na policji zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, polegającego na sfałszowaniu podpisów jej ojca pod treścią umów kredytowych. Dodatkowo chcąc uwolnić się od narastającego długu (za namową prawnika zatrudnionego w jej miejscu pracy) chciała złożyć do sądu wniosek o wznowienie postępowania zakończonoego wydaniem nakazu zapłaty przeciwko swojemu ojcu, powołując się przy tym na okoliczność, że nakaz zapłaty został oparty na dokumencie podrobionym (chcąc w ten sposób doprowadzić do uchylecia jego mocy obowiązującej). Jednak przed podjęciem tego ruchu postanowiła po raz ostatni porozmawiać z właścicielem firmy pożyczkowej Zenonem B. i odebrać przy okazji kluczyki do zastawionego w firmie pożyczkowej auta stanowiącego jej własność.

\*\*\*

**S**potkanie z Zenonem B. przyniosło wiele niespodzianek – samochód pozostawiony w firmie pożyczkowej został rozbity przez pracownicę Zenona B., która będąc akwizytką firmy dojeżdżała nim do klientów.

Pomimo wewnętrznych rozterek i wątpliwości Lucyna Z. opowiedziała Zenonowi B. o swoich odkryciach związanych ze sfałszowaniem podpisów ojca pod treścią umów pożyczek oraz planach związanych z ujawnieniem tego faktu organom ścigania. Zenon B. zbladł, gdy usłyszał o zamiarach Lucyny Z. i postanowił wyznać jej „całą prawdę”. Według jego słów, ojciec kobiety był mu winny wskazane w umowach kwoty pieniędzy, choć rzeczywiście nie złożył on własnoręcznych podpisów pod treścią umów pożyczek. Znajomość Henryka Z. i Zenona B. rozpoczęła się w zakładzie karnym, gdzie obaj panowie mieli w jednej celi odbywać karę pozbawienia wolności. Ojciec Lucyny Z. za kradzież z włamaniem, Zenon B. za oszustwa podatkowe. Henryk Z. usilnie potrzebował gotówki na spłatę długów karcjanych, chcąc zdobyć pieniądze włamał się do sklepu, został szybko zidentyfikowany i osadzony w areszcie śledczym, skąd po skazaniu przez sąd trafił do zakładu karnego.

Zenon B. (aktualnie parający się udzielaniem chwilówek) zawsze miał głowę do interesów, choć niekoniecznie „czystych”. Często ukrywał swoje dochody, chcąc w ten sposób obniżyć wysokość daniny odprowadzanej do Skarbu Państwa, jednak jak twierdził zawsze dysponował większą gotówką. Po opuszczeniu zakładu karnego Zenon B. pożyczył pieniądze Henrykowi Z., nie zawierając z nim żadnej umowy. Motywacją takiego właśnie działania była niechęć do zapłaty podatku od czynności cywilnoprawnych i podatku dochodowego od uzyskanych odsetek z pożyczki. Jednak, kiedy z pożyczkodawcą telefonicznie skontaktował się Henryk Z. i powiadomił go o swojej hospitalizacji, przyszłej operacji i niepewności co do przyszłości, wtedy panowie wspólnie przez telefon ustalili, że Zenon B. stworzy umowy pożyczek na kwoty, które wzięł od niego Henryk Z. Jak ustalili, tak też zrobili. Gdy ojciec Lucyny Z. zaprzestał spłacania pożyczonych kwot, Zenon B. wniósł sprawę do sądu. Ojciec Lucyny Z. nie protestował, nie kwestionował zawarcia umów i nie wniósł sprzeciwu do zapadłego nakazu zapłaty, traktując stworzone i podpisane wyłącznie przez Zenona B. umowy pożyczki, jako w pełni obowiązujące.

\*\*\*

**L**ucyna Z. po usłyszeniu wyjaśnień Zenona B. nie miała pewności, co jest prawdą, a co manipulacją człowieka, który odbywał już karę pozbawienia wolności za oszustwa. Niezaprzeczalnym faktem było jednak, co przyznał Zenon B., że podpisy pod dokumentami umów pożyczek nie należały do ojca kobiety i były podrobione. Pożyczkodawca pokazał Lucynie Z. dowody poświadczające swoje skazanie i pobyt w zakładzie karnym i poprosił ją o sprawdzenie w administracji placówki więziennej faktu przebywania w tym samym okresie w tejże placówce Henryka Z. Z ustaleń poczynionych przez kobietę wynikało, że jej ojciec we wskazanym okresie również był „pensjonariuszem” zakładu karnego, co w jakiś sposób uprawdopodobniało twierdzenia właściciela firmy pożyczkowej, jednak nie uwalniało kobiety od długu, za który w żaden sposób nie była odpowiedzialna i który odziedziczyła wyłącznie przez własną niewiedzę lub lekkomyślność.

Zenon B. mając do stracenia przyszłość swojej firmy, perspektywę pobytu w zakładzie karnym i realną możliwość orzeczenia przez sąd zakazu prowadzenia działalności gospodarczej przez określony czas, powiedział Lucynie Z., że chce się „dogadać”. Dogadanie to miałyby polegać na wycofaniu wniosku egzekucyjnego od komornika i złożeniu oświadczenia z podpisem notarialnie poświadczonym o otrzymaniu całej zasądzonej nakazem zapłaty należności od Lucyny Z.

Kobieta widząc swoją przewagę i mając świadomość tego, co może stracić Zenon B. w przypadku powiadomienia przez nią prokuratury o sfalszowaniu podpisów ojca, zapytała Zenona B. o swoje



auto, które zostało skierowane do kasacji. Zenon B. zaproponował zwrot równowartości auta po cenie rynkowej. Kobieta chcąc otrzymać chociażby jakiegokolwiek zadośćuczynienie za poniesione „straty moralne” i czas poświęcony na uwolnienie się od długu zażądała nowszego auta – wystarczającym miał być trzyletni „Japończyk”. Pomimo ogromnych oporów Zenon B. przystał na takie dictum i kobieta złożyła podpis pod umową darowizny trzyletniego samochodu „made in Japan”.

\*\*\*

**M**ożna powiedzieć, że w ostatecznym rozrachunku Lucyna Z. po wielu perypetiach, dzięki swojej determinacji, osobistym staraniom i pomocy przypadku, nic nie straciła, dziedzicząc nieświadomie dług własnego ojca. W praktyce jednak, w większości sytuacji dziedziczenie długów po zmarłych przodkach prowadzi do wielu tragedii. Na kanwie takich właśnie niefortunnnych przypadków dziedziczenia pasywów (długów) po najbliższych, za kilka miesięcy wejdą w życie nowe zasady dziedziczenia długów – tylko do wysokości odziedziczonego realnie majątku (aktywów) – a nie, jak do tej pory, w całości. ■

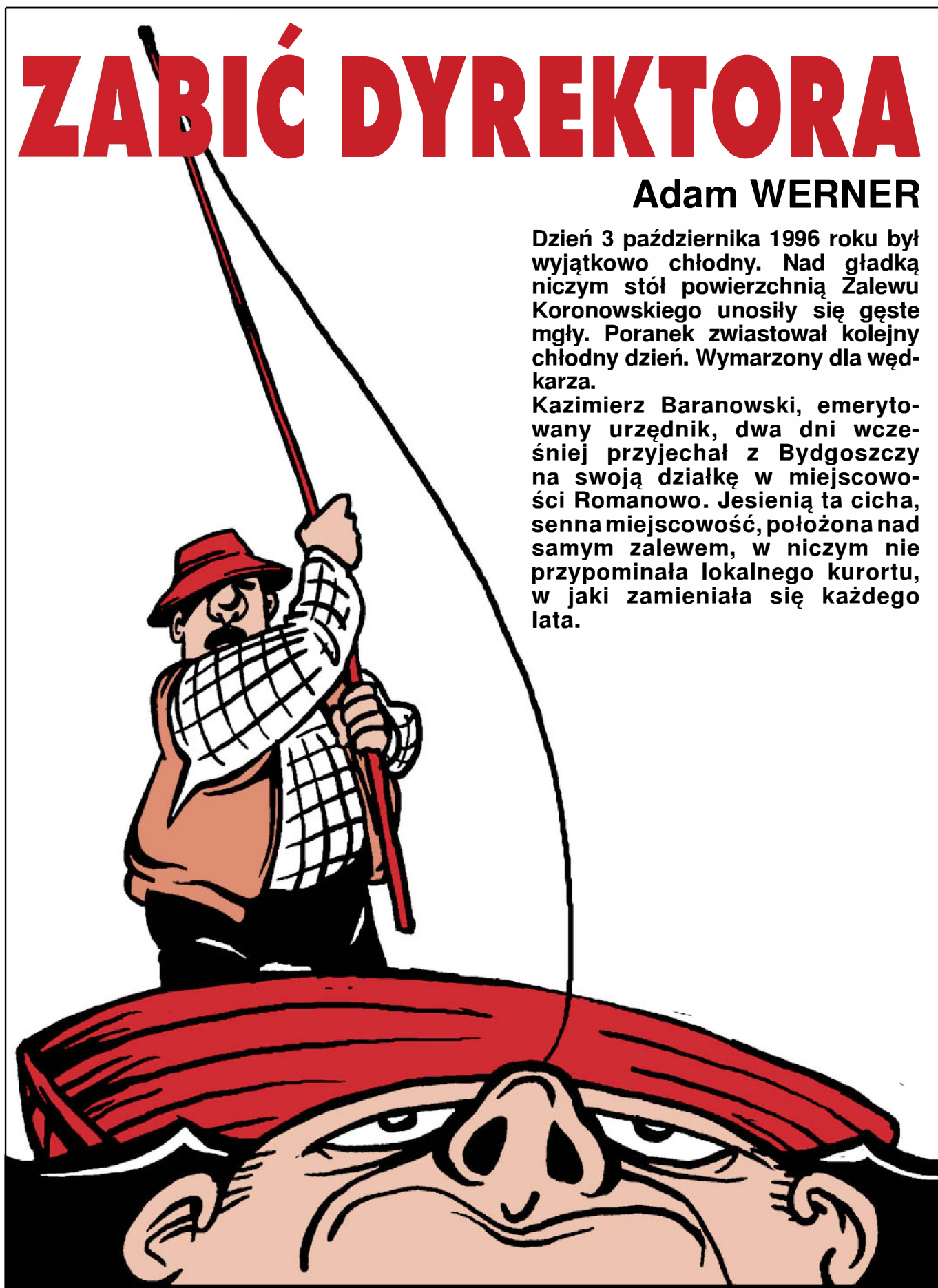
**Tomasz Łukaszewicz**

# ZABIĆ DYREKTORA

Adam WERNER

Dzień 3 października 1996 roku był wyjątkowo chłodny. Nad gładką niczym stół powierzchnią Zalewu Koronowskiego unosiły się gęste mgły. Poranek zwiastował kolejny chłodny dzień. Wymarzony dla wędkarza.

Kazimierz Baranowski, emerytowany urzędnik, dwa dni wcześniej przyjechał z Bydgoszczy na swoją działkę w miejscowości Romanowo. Jesienią ta cicha, senna miejscowość, położona nad samym zalewem, w niczym nie przypominała lokalnego kurortu, w jaki zamieniała się każdego lata.



**P**rzy kejach małego portu jachtowego cumowało teraz kilkanaście niedużych żaglówek. Sprawiały wrażenie stopionych w jedno z nieruchomym lustrem wody. Baranowski wsiadł do swojej łódki i zaczął wiosłować. Wziął kurs na położoną kilkaset metrów dalej ulubioną cichą zatoczkę, w której parę razy udało mu się już złowić okazałe szczupaki. Godzinę później zarzucił już drugą wędkę. Zapalił papierosa i w zamyśleniu wbił wzrok w ścianę lasu po drugiej stronie jeziora.

Z tego sennego zamyślenia wyrwało go szarpnięcie. Żyłka napięła się, jednak nim wędkarz zdążył chwycić kołowrotek, pękła. Baranowski nachylił się, ale zdążył tylko zobaczyć chowający się w gęstwinie wodorostów tułów suma. Coś pod lustrem wody przykuło jednak jego uwagę. Coś błyszczącego, mieniącego się w mlecznym świetle sączącym się zza chmur. Zdjął wędkarski kapok, podwinął rękawy koszuli i sięgnął pod wodę. Błyszcząca podłużna nitka była przymocowana do czegoś miękkiego. Wyczuł też materiał. Oniemiał ze zgrozy.

O godzinie 9.00 nad cichą zatoczką stały już zaparkowane trzy radiowozy. Pracowali technicy kryminalistyki, a wezwani na miejsce pletwonurkowie już szykowali się do odjazdu. Nawet nie musieli się przebierać w pianki do nurkowania. Wystarczyły tylko wodery, by wyciągnąć ciało na brzeg. Nad opuchniętymi czerwonosinymi zwłokami potężnie zbudowanego mężczyzny nachylał się prokurator Kamiński. Zastaniał przy tym usta i nos kołnierzem. Ciało musiało przeleżeć w wodzie grubo ponad tydzień.

– Sekcja jutro. Niech spróbują ustalić, czy był pijany – zlecił inspektorowi, który stał obok.

Kazimierz Baranowski siedział w tym czasie w radiowozie i notującemu w zeszycie policjantowi zdawał relację ze swojego znaleziska. Opowiedział dokładnie, jak zauważył mieniący się pod wodą złoty łańcuszek. Wędkarskie plany musiał odłożyć na później.

### Kaczka dla zabójców

**W** połowie września 1996 roku w restauracji „Palladino” na bydgoskim Śródmieściu spotkało się dwóch mężczyzn. Jeden z nich – barczysty, mający około dwóch metrów drab o rzymskim profilu twarzy. To Piotr Matejski, znany w przestępczym świecie jako „Gladiator”. Chwilę wcześniej zamówił pieczoną kaczkę. Mieli ją wspólnie zjeść z towarzyszem. Towarzysz to Krystian Ciechowski, znany też wśród swoich jako „Mały”. Pseudonim dobrze oddawał jego fizję. Mimo niespełna metra siedemdziesięciu wzrostu „Mały” dawno przestał być obiektem drwin kolegów. Ten drobny mężczyzna od pięciu lat pracował jako prawa ręka Henryka Lubowskiego. Henryk, znany jako „Szprycy”, był w latach 90. niekwestionowanym bossem bydgo-

skiego podziemia. Jego grupa przestępcza – za kierowanie którą miał zostać osądzony dopiero osiem lat później – trudniła się przede wszystkim wymuszeniami rozbójniczymi, sprzedażą narkotyków i... wyłudzeniem kredytów. Przed ludźmi „Szprycy” drżeli restauratorzy, hotelarze i właściciele pubów z bydgoskiego Starego Miasta.

– Litwin będzie dzisiaj czekał przy PKS-ie. Będziemy tam przed szóstą. – „Gladiator” spojrział najpierw na zegarek – dochodziło południe – a potem na „Małego”.

– Jeżeli nie będzie miał „klamki”, to trzeba będzie dopilnować, żeby ją zdobył – zauważył Ciechowski.

– Spokojnie, ostatnio mówił, że glock już przyjechał. Czeska mafia paliwowa ma najlepszą broń – „Gladiator” zaśmiał się i zamilkł, bo do stolika kierowała się już kelnerka niosąca dwie porcje kaczki.

– Kiedy jedziemy po Jarka? – zapytał „Mały”.

– Jeszcze dzisiaj. Zaraz po spotkaniu z Litwinem – „Gladiator” rzucił ponuro i cicho. – Ale głodny nie będą pracował – i wbił nóż w kaczkę.

### Gangsterska fuzja

**K**elnerka, która obsługiwała tych dwóch klientów w porze obiadowej, okazała się później jednym z ważniejszych świadków w procesie o zabójstwo Jarosława Linge, którego ciało wędkarz Baranowski przypadkowo znalazł w zatoczce Zalewu Koronowskiego.

Linge był dyrektorem agencji ochrony „Security Bis”. Zaczynał na początku lat dziewięćdziesiątych. Jego ludzie ochraniaли początkowo kilka klubów i pubów w ścisłym centrum miasta. Parę starć i przepychanek z kolegami „Szprycy”, którzy uzurpowali sobie prawo do pobierania „opłat” za ochronę od właścicieli pubów, wystarczyło jednak, by Linge podjął decyzję o współpracy z Lubowskim. Dzięki tej swoistej fuzji na rynku „usług” gangsterskich w Bydgoszczy grupa „Szprycy” znacznie urosła w siłę. Szeregi bandyckiej szajki zasilili wykwalifikowani ochroniarze, ludzie potrafiący profesjonalnie posługiwać się bronią i wyszkoleni w walce wręcz. Oczywiście dla urzędu skarbowego nic się nie zmieniło. Firma „Security Bis” działała dalej jako zwykła agencja ochrony. Przez konta spółek i firemek zakładanych jako przedsiębiorstwa-córki agencji ochrony, filtrowano jednak miliony złotych pochodzące z przestępstw.

Linge nie był typowym osiłkiem. Miał zmysł menedżerski i żyłkę do interesów. Dlatego też szybko postanowił rozszerzyć swoją działalność. W połowie lat 90. na rynku pojawiły się akcje Narodowych Funduszy Inwestycyjnych. Linge zaczął wysyłać swoich ludzi, którzy ubrani w eleganckie garnitury, z nienagannymi manierami, uprzejmie zagajali rozmowy z klientami wchodzącymi do banków. Pomysł był prosty – skupić



jak najwięcej akcji i spieniężyć je we właściwym czasie. Idea tak prosta, że doskonała. I, co najważniejsze – prawie nie niosąca ryzyka.

Był tylko jeden problem. Lingę dbał o to, by o jego nowym przedsięwzięciu tak długo, jak to możliwe, nie dowiedzieli się ludzie ze „starej” gwardii „Szprycy”. Chodziło mianowicie o finansowanie interesu na obligacjach. „Security Bis” skupowało papiery wartościowe za pieniądze... Lubowskiego. Mechanizm wydawał się z początku niezawodny. Karuzela fikcyjnych firm zakładanych przez Lingę, ale mających jak najbardziej prawdziwe konta bankowe, rozrosła się do takich rozmiarów, że nawet „Mały”, główny księgowy „Szprycy”, nie zdołał się początkowo połapać w tym galimatiasie.

Zyski ze sprzedaży akcji pozwoliły Lingemu na kolejne rozszerzenie działalności. Tym razem chodziło o sprowadzanie do Polski z Czech i sprzedaż w kraju amfetaminy. Dyrektor „Security Bis”, rzecz jasna, i o tym nie poinformował bossa bydgoskich gangsterów. Był przekonany, że mimo podziemnej fuzji z grupą „Szprycy” nawet w przypadku, kiedy wszystko wyjdzie na jaw, będzie mógł się powołać na klauzulę biznesowej wolności. Pomylił się.

Ochroniarze w garniturach pewnie bogaciliby się dalej, gdyby nie pewien przypadek. Informacja o oddzielnych interesach szefa agencji dotarła do „Szprycy” drogą okrężną. Przez Czechy. Od 1994 roku Lubowski robił interesy z niejakim Frantiskiem Jedliczkim, właścicielem concernu spożywczego „Intra Nova”. Ten biznesmen zza

południowej granicy, który zbudował swoje spożywcze imperium balansując na granicy prawa i umiejętnie omijając przepisy podatkowe, namówił „Szprycę” na wspólne interesy oparte na obrocie... chrzczonego paliwem. Rozmowy na temat tego przedsięwzięcia miały zostać sfinalizowane w listopadzie 1996 roku. W tym samym czasie też Jedliczek miał przekazać ludziom Lubowskiego pierwszą tranzę świeżutkiej i taniej czeskiej metamfetaminy. Wbrew obiegowej opinii okazało się jednak, że dżentelmeni owszem o pieniądzach rozmawiają. I to szeroko. Przy okazji jednego ze spotkań „Szprycę” przecierał oczy ze zdumienia, słysząc od Jedliczka, że w Bydgoszczy pod jego nosem jakiś dyrektor firmy ochroniarskiej również próbuje sił na rynku nielegalnych używek.

### Zlecenie

Jaki był „Szprycę”? – pytaniem na pytanie odpowiedział policjantowi jeden z byłych drabów Lubowskiego. Jego zeznania znalazły się w aktach prokuratorskich późniejszego śledztwa w sprawie zabójstwa Lingęgo. – To człowiek o dwóch twarzach. Potrafił być przyjacielski, wesoły. Ale gdy dopadała go migrena, dostawał szału. To też meteopata. A jesień 1996 roku była wyjątkowo depresyjna. Chyba po prostu wpadł w furję.

Zlecenie zabójstwa szefa ochrony „Security Bis” – według ustaleń bydgoskiej prokuratury – miało zostać wydane w „czasie bliżej nieokreślonym” w dniach od 11 do 14 września. Kilka dni zajęło ludziom „Szprycę” sprowadzenie z Czech „czystej” broni. Narzędziem zbrodni miał być pistolet glock 21, a zadanie mieli wspólnie wykonać „Mały” i „Gladiator”.

### Detektyw na sterydach

Świadkowie (w późniejszym procesie mającym wyjaśnić, kto zabił szefa ochrony, zeznawało ich kilkunastu) pytani przez śledczych o to, jakim człowiekiem był Jarosław Lingę, najczęściej odpowiadali – sympatycznym.

Pod koniec lat 80., gdy wyszedł z wojska, rozpoczął pracę w lokalnych zakładach elektronicznych. Na jego zdjęciach z tamtego okresu widać szczupłego mężczyznę po dwudziestce z blond czupryną. Wygląd Lingęgo miał się zmienić w nadchodzących latach nie do poznania. Mniej więcej około 1993 roku założył swoją firmę ochroniarską. Przedstawiał się jednak nie jako biznesmen z branży „bramkarskiej”, ale jako detektyw. Na początku lat 90. rynek usług detektywistycznych i ochroniarskich był niejednorodny, a brak wymogu posiadania licencji prywatnego śledczego, nobilitował ludzi trudniących się świadczeniem usług ochroniarskich.

– Jarek zaczął żyć na krawędzi – wyznała przesłuchującym policjantom żona Lingęgo.



– Urósł niesamowicie, godzinami przesiadywał w siłowni. Pewnie brał jakieś sterydy. Gdy go poznałam, wyglądał zupełnie inaczej. A krótko przed śmiercią przypominał boksera wagi ciężkiej. Był nafaszerowany anabolikami i testosteronem. Przypuszczałam też, że miał kochankę, ale nigdy się do tego nie przyznał. Krok dzielił nas od rozvodu... ale wiadomość o jego śmierci była dla mnie szokiem. Nie miałam pojęcia, że zadawał się z gangsterami... Nigdy nie mówił mi o interesach. Myślę, że w ten sposób mnie chronił.

### Ostatnia przejażdżka

**O**to zapiski z policyjnego notatnika: 17 września 1996 roku około godziny 13.00 Krystian Ciechowski i Piotr Matejski wychodzą z restauracji „Palladino”. Nie wiadomo, co robią do godziny 18.00, kiedy na dworcu PKS spotykają się z „Miszą”, czyli Michailem Gienowkinem. Litwin, diler narkotykowy luźno współpracujący z grupą „Szprycy” przekazał im pistolet glock 21, sprowadzony kilka dni wcześniej z Czech.

Około godziny 19.00 „Mały” i „Gladiator” Mercedesem podjeżdżają na parking przed hotelem „City Hall” w Bydgoszczy. Czekają tam około dziesięć minut. Hotelowy ochroniarz zezna później śledczym, że widział Jarosława Lingego

wychodzącego z budynku i wsiadającego do białego Mercedesa. Auto odjechało północną trasą wylotową z miasta w kierunku Gdańska.

Dwa tygodnie później emerytowany urzędnik, który wybrał się na ryby nad Zalew Koronowski, zauważył płytko pod wodą dryfujące ciało. Kilka dni zajęło prokuraturze ustalenie, że to zwłoki Lingego. Policyjni patolodzy doliczyli się w klatce piersiowej trzech ran powstałych po strzałach z broni palnej. Ich średnica pasuje do pocisków zabezpieczonego później w dochodzeniu pistoletu glock 21. Jeśli chodzi o ustalenie okoliczności śmierci ochroniarza, śledczych interesuje jeszcze jedna ważna kwestia – czy zamachowcy najpierw próbowali zastrzelić mężczyznę, czy go utopić? Ciało wyciągnięto bowiem na brzeg z przytroczonymi odważnikami z siłowni. Jarosław Linge miał przymocowane do kostek metalowe tarcze o wadze... 60 kg.

– Wysoki sędzie, pamiętam te odważniki – Tomasz B., były współpracownik „Szprycy” i świadek koronny w procesie o zabójstwo Lingego, zwrócił się do sędziego podczas jednej z pierwszych rozpraw, w grudniu 2006 roku. Był to pierwszy proces mający wyjaśnić, dlaczego zginął szef agencji ochrony. Sukcesem wymiaru sprawiedliwości był sam fakt, że do procesu w ogóle

### REKLAMA

WARTO PRZECZYTAĆ



## Sensacja na lato

Andrew Gross  
„Krach”

„Krach” Andrew Grossa to znakomity thriller, który pokazuje świat nowojorskiej giełdy, obnażając ciemną stronę Wall Street. Morderstwa znanych finansistów odsłaniają szokującą tajemnicę. Czy globalny kryzys gospodarczy to efekt spekulacji czy operacja terrorystów?

Szybkie tempo akcji oddaje klimat finansowego świata i wrzuca

w wir niespodziewanych wydarzeń. To idealna pozycja dla fanów inteligentnej, trzymającej w napięciu rozrywki i amatorów odkrywania teorii spiskowych. Książka w sprzedaży w salonach Empik oraz innych księgarniach.

Wydawnictwo: HarperCollins  
Cena: 36,99 zł

## Hity z apteki!

### ULGA DLA UST

ZAJADEX® serum na zajady tworzy bezbarwną warstwę ochronną, która **łagodzi swędzenie i pieczenie skóry, redukując uczucie dyskomfortu**. Zawiera starannie dobrane składniki aktywne m.in. drożdże, witaminy A, B, D, E, F oraz panthenol, dzięki czemu przynosi natychmiastową ulgę. 0% parabenów, alergenów, barwników, alkoholu.

ZAJADEX®. CENA: 12 ZŁ  
DOSTĘPNY W APTEKACH



### BÓL MIĘŚNI I STAWÓW

Tradycyjna receptura wzbogacona o składniki aktywne zapewnia naturalne działanie oraz intensywne grzanie, pozostawiając przyjemne uczucie ulgi.

Maść zaleca się **stosować do rozgrzania okolic mięśni, stawów oraz pleców**.

Szczególnie polecana dla osób uprawiających sport i osób starszych.

MAŚĆ NIEDŹWIEDZIA™. CENA: 14 ZŁ  
DOSTĘPNA W APTEKACH

## SPRAWA NIEROZWIĄZANA

doszło. Bydgoska prokuratura bowiem umorzyła dochodzenie już w 1997 roku. Cichą robotę wykonywali jednak śledczy z wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej w Bydgoszczy. Policjanci całymi latami rozpracowywali sprawę. Akt oskarżenia trafił do sądu w 2005 roku.

Tomasz B. na sali rozpraw wyjął z kieszeni wygniecioną fotografię i pokazał ją sędziemu. Na zdjęciu, którego właściciel twierdził, że wykonano je w 1995 roku, widać było Piotra Matejskiego na siłowni. Klub znajdował się na osiedlu Bartodzieje w Bydgoszczy i był częstym miejscem spotkań zarówno „Gladiatora”, jak Lingego i pozostałych ludzi związanych z grupą „Szprycy”. Na fotografii w tle widać było odważniki identyczne z tymi, które zabójcy przytroczyli do nóg swojej ofiary.

### Żelazne alibi

**B**ył to jeden z mocniejszych tropów w postępowaniu. W postępowaniu, które – zarówno w opinii prokuratora, ale też adwokatów, których kilkunastu na zmianę dyżurowało na sali rozpraw w ciągu całego procesu – w znacznej mierze było oparte na poszlakach. Siedzący na ławie oskarżonych „Gladiator” i „Mały” mogli czuć się bezpiecznie. Mieli mocne alibi.

W roku 2008 na przedostatniej rozprawie w procesie, jeden z obrońców „Gladiatora” nieoczekiwanie złożył w sądzie wniosek o przesłuchanie nowego świadka. Tym świadkiem był pracownik hotelu „Karpaty” w miejscowości Lesko w Bieszczadach. Mężczyzna zeznał w sądzie, że około godziny 7.30 rano 18 września 1996 roku widział w pobliżu hotelu dwóch oskarżonych. Było to żelazne alibi. Sąd uznał, że „Gladiator” i „Mały” nie byłiby w stanie dojechać z Bydgoszczy do Leska w mniej więcej siedem godzin. Nawet, gdyby pędzili na złamanie karku wyjechawszy zaraz po dokonaniu zabójstwa Jarosława Lingego.

Proces obrósł czarną legendą. Kilku świadków na sali rozpraw powtarzało zasłyszane informacje o niekonwencjonalnych metodach pracy policyjnych śledczych. Kryminalni rzekomo mieli nachodzić w nocy wdowę po Lingem, próbując zmusić ją do złożenia zeznań w sprawie śmierci męża. Makabrycznym elementem nacisku miała być rzekomo odcięta ręka denata, którą podczas jednej z takich wizyt podobno zaprezentowali przesłuchiwaney. Te informacje wzbudziły nie małą sensację wśród dziennikarzy śledzących przebieg procesu. Nikt, ani prokuratura, ani policja, ani też sąd nie potwierdziły jednak, że wizyty kryminalnych u wdowy miały taki przebieg. Niemniej mroczna opowieść jeszcze długo krążyła po mieście.

Pierwszy proces zakończył się uniewinnieniem oskarżonych. Drugi, który rozpoczął się z apelacją w 2010 roku, został zamknięty z podobnym rozstrzygnięciem w lipcu 2013 roku.



W tym czasie dawno już przestała istnieć grupa „Szprycy”. Gangster został osądzony w 2005 roku i odsiedział wyrok sześciu lat za kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą. Mimo wielu poszlak i podejrzeń ciężących na nim, jako na tym, który miał wydać rozkaz usunięcia Jarosława Lingego, nigdy nie udowodniono mu zlecenia zabójstwa. Z kolei „Gladiator” do dzisiaj odwiedza bydgoski sąd. Zeznaje z wolnej stopy jako świadek w procesach grup przestępczych powstałych na gruzach gangu „Szprycy”.

Sprawa zabójstwa dyrektora firmy ochroniarzkiej trafiła do policyjnych akt śledztw niedokończonych. ■

**Adam Werner**

Wszystkie personalia oraz dane dotyczące niektórych miejsc zostały zmienione.



# CHOROWITY

Roman BARTOSIAK

## „OJCIEC CHRZESTNY”

Przez kilka lat swojego istnienia gang Henryka O. nie był dla policji większym wyzwaniem. Najpierw nikt o nim nie słyszał. Kiedy zaczęła rozpracowywać go policja, wydawało się, że to grupa pospolitych przestępców, jakich wiele w każdym zakątku Polski. Dopiero z perspektywy czasu pojawiły się opinie, że to jedna z najgroźniejszych grup przestępczych na Warmii i Mazurach, ale może również na północy Polski. W czasie kiedy tabloidy rozpisywały się o mafii pruszkowskiej i wołomińskiej, w pewnym miasteczku zaczęły dziać się sceny niczym z odległej Sycylii, opanowanej przez wszechpotężną mafię.



**S**zczecińscy biznesmeni Paweł K. i Piotr W. zaginęli 30 maja 2003 roku. Tamtego poranka wsiedli w luksusowe BMW i wyjechali w interesach do Piły. Tak przynajmniej powiedzieli swoim żonom. Nie wiadomo, czy coś zmieniło się po drodze w ich planach biznesowych, czy może było to od początku zaplanowane... ale około godziny szesnastej Paweł K. zadzwonił do swojej połowicy i oznajmił jej, że jest w K., niewielkim miasteczku na Mazurach.

– *A co ty tam robisz, przecież miałaś pojechać tylko do Piły i wieczorem wrócić do domu? Co się stało?* – zapytała zaniepokojona tą nagłą zmianą planów.

– *Interesy kochanie. Dziś nie jest dobry dzień, nie wszystko idzie zgodnie z planem. Jak będę mógł, to dłużej porozmawiam. Muszę kończyć. Pa...* – prawie w pół zdania zakończył rozmowę, co było w ogóle do niego niepodobne, bo lubił dłuższe pogawędki przez telefon.

Zona pana Pawła była zaskoczona tą rozmową. Mąż wprawdzie nigdy nie był wylewny w sprawach biznesowych, jednak tamten dialog zapamiętała do końca życia. Po raz pierwszy w jego głosie słyszała jakiś niepokój i zdenerwowanie. Była pewna, że przy okazji kolejnej rozmowy wszystko się wyjaśni. Niestety, nie było jej dane ponownie porozmawiać z mężem. Mimo kilkakrotnych prób połączenia, komórka mężczyzny milczała jak zaklęta i zamiast głosu ukochanego odzywała się tylko automatyczna sekretarka. Zadzwoniła do żony Piotra W. i opowiedziała jej o swoim problemie. Telefon drugiego mężczyzny również milczał.

Z jednej strony obie panie były zaniepokojone milczeniem mężów, z drugiej – już kilka razy zdarzyło się, że ich mężowie na kilkanaście godzin znikali, jak to mówili, „w interesach”. Paweł K. i Piotr W. oficjalnie zajmowali się importem i eksportem artykułów spożywczo-przemysłowych, jednak „dorabiali” sobie przywozem do Polski kontrabandy z Niemiec. Głównie był to przemyt papierosów, które sprzedawali w zaprzyjaźnionych hurtowniach. Jednym z kontrahentów, z którym współpracowali przy tym nielegalnym procederze, był Henryk O. z K. – małej miejscowości kilkanaście kilometrów od Hławy (woj. warmińsko-mazurskie). Pan O. podobno był winien jednemu z nich pięćdziesiąt tysięcy złotych. Niewykluczone, że ich wyjazd na Warmię związany był z próbą wygzekwowania tych pieniędzy.

### To niemożliwe, żeby pan ich nie znalazł

**P**o nieprzespanej nocy z 30 na 31 maja 2003 roku obie panie ruszyły na poszukiwanie mężów. Nie zgłosiły jednak ich zaginięcia na policję, lecz pojechały do K., by na miejscu wyjaśnić okoliczności ich zniknięcia. Pierwsze kroki skierowały oczywiście do willi Henryka O. Wejścia do willi pilnowali ochroniarze. Rozmowa z nimi była krótka i dość chłodna. Od nich dowiedziały się, że gospodarz jest wprawdzie w domu, lecz jest zajęty

i będą musiały poczekać na rozmowę. Czekają kilka godzin. Nikt nie zaproponował im nawet szklanki wody. Dopiero wieczorem na wózku inwalidzkim wyjechał do nich mężczyzna w średnim wieku. Po raz pierwszy zobaczyły Henryka O.

– *Nie wiem o co paniom chodzi, ale nie widziałem się z waszymi mężami. Spotykam się z różnymi ludźmi, ale te nazwiska nic mi nie mówią. Obawiam się, że to jakaś pomyłka* – powiedział.

– *Jak to, przecież Paweł i Piotr mówili, że są u pana, prowadzili z panem interesy. To niemożliwe, żeby pan ich nie znalazł.*

– *Jeśli mówię, że nie znałem, to nie znałem! Coś jeszcze? Muszę wracać do domu. Do widzenia* – rzucił na pożegnanie, po czym pchnął koła wózka, na którym siedział i odjechał w kierunku wejścia do domu.

Kobiety były zrozpaczone. Przejechały prawie czterysta kilometrów z nadzieją, że uda im się wyjaśnić los zaginionych mężów, tymczasem skończyło się na niespełna minutowej rozmowie, która nie wniosła do sprawy nic nowego. Intuicja podpowiadała im, że Henryk O. musiał coś wiedzieć w tej sprawie, ale nie miały na to żadnych dowodów. Mogły tylko wyruszyć w drogę powrotną do domu.

Zdesperowane małżonki nie ustawały w poszukiwaniach mężów. Poruszyły niebo i ziemię – rozwiesiły setki plakatów, zatrudniły prywatnego detektywa, udało im się namówić kilku dziennikarzy do zamieszczenia stosownych artykułów w prasie lokalnej. Początkowo nie dawało to żadnego rezultatu. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, nikt nie potrafił nic powiedzieć. Cóż, to niejedyny przypadek zaginięcia, kiedy nie wiadomo co stało się z poszukiwanym człowiekiem.

Przełom nastąpił po kilku tygodniach. Syn jednego z zaginionych na stacji benzynowej spostrzegł samochód, który miał takie same felgi, jak kilku-miesięczne, luksusowe BMW jego ojca. Ile takich samochodów sprzedano w Polsce? Kilka, może kilkanaście. Kierowca na stacji benzynowej musiał coś wiedzieć: jeśli nie o losie zaginionego, to przynajmniej co się stało z jego samochodem. Nie miał jednak odwagi podejść do niego i wprost o to zapytać. Spisał tylko numer rejestracyjny i jeszcze tego samego dnia poinformował o tym śledczych, poszukujących zaginionych biznesmenów. Wydawało się, że sprawa nabierze tempa. Kilka godzin później policjanci dotarli do właściciela tego samochodu, który podał adres warsztatu, gdzie kupił i zamontował do swojego pojazdu charakterystyczne felgi. Trop znowu prowadził w okolice miejscowości, gdzie po raz ostatni dali o sobie znać Paweł K. i Piotr W.

Pracownicy warsztatu początkowo udawali, że nie wiedzą o co chodzi. – *No to jedziemy na komendę, kilka dni w areście z pewnością odświeży wam pamięć* – „zapropomował” jeden z funkcjonariuszy. Policyjna sugestia od razu poskutkowałą. Mechanicy przypomnieli sobie, że luksusowym BMW przyjechał jeden z ochroniarzy Henryka O.,



lokalnego polityka i biznesmena. – *To dziwna i zagadkowa sprawa* – opowiadali mechanicy. – *Klient zapłacił niezłe pieniądze, żeby auto przestało istnieć. Mieliśmy je pociąć na części, a następnie utopić w jednym z pobliskich jezior.*

\*\*\*

**N**ie zadawali żadnych pytań, dlaczego mają unicestwić tak piękny i drogi samochód, choć mogli tylko domyślać się powodów takiego postępowania. Może kradziono lub przemycano nim narkotyki, może służyło do popełnienia innych przestępstw? Działali w myśl zasady „klient płaci, klient wymaga”. Jednak szkoda im było zmarnować okazję i nie zarobić dodatkowych pieniędzy! Panowie mechanicy nie wykonali dokładnie zlecenia, bowiem zanim pocięli palnikami luksusowe auto, wymonowali z niego kilka drobiazgów, na których chcieli dorobić, sprzedając je zaprzyjaźnionym klientom.

Dzięki tym informacjom Henryk O. ponownie znalazł się w kręgu zainteresowania policji. Nie dość, że to w okolicach jego posiadłości po raz ostatni dzwonił zaginiony mężczyźni (co zresztą potwierdziły potem dodatkowo billingi ich telefonów komórkowych), to na dodatek zlecił on zniszczenie samochodu, którym podróżowali 30 maja 2003 roku

Paweł K. i Piotr W. Nikt nie wierzył, że wszystko to jest tylko nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności. Pan O. musiał mieć coś wspólnego z ich zniknięciem. Dlaczego jednak ukrywał sobie tylko wiadome fakty? Czyżby stawały go one w tak bardzo niekorzystnym świetle?

– *Początkowo wydawało nam się, że w grę wchodzi jakieś porachunki pomiędzy biznesmenami, którzy mogą być zamieszani w hurtowy przemysł papierosów* – opowiada jeden z policjantów, zaangażowany przed laty w śledztwo. – *Nie spodziewaliśmy się, że mamy do czynienia z jedną z najmniejbezpieczniejszych grup przestępczych w Polsce. Ówczesny zastępca Komendanta Głównego Policji powołał specjalną grupę zadaniową, która miała jeden cel: rozbić grupę Henryka O. pseudonim „Kulawy”.*

Z operacyjnych ustaleń wynikało, że pozostałości ciał zamordowanych mogły zostać zakopane przy brzegu pobliskiego jeziora. W tym celu pobrano nawet próbki gruntu; niestety ten trop nie wniósł do sprawy nic nowego. Wprawdzie w próbkach stwierdzono obecność DNA, ale jego ilość nie pozwalała na zbadanie, czy był to ludzki materiał genetyczny. Losu zaginionych mężczyźni nie udało się nigdy jednoznacznie wyjaśnić.

Początkiem końca lokalnego biznesmena była rewizja w jego posiadłości. Policjanci zabezpieczyli trzy sztuki broni palnej, w tym pistolet TT, rewolwer marki Arminius, broń myśliwska, prawie 500 sztuk



amunicji do broni palnej, sportowej. W domu, na terenie posesji było kilkanaście skrytek, schowków. Policjanci znaleźli podwójne ścianki w domu, pod sufitem, a także schowek w budzie dla psa. W skrytce na strychu domu zabezpieczono około 8 kg plastycznego materiału wybuchowego i trotylu uzbrojonego w zapalniki. Policja posiadała wprawdzie wiele informacji o przestępczej działalności pana O., ale był to materiał operacyjny. Ludzie bali się zeznawać „na protokół”, bo obawiali się zemsty lokalnego watażki – człowieka o dwóch twarzach. – *Z jednej strony to bezwzględny zleceniodawca zabójstw, pobić, wymuszeń rozbójniczych, a z drugiej – osoba, która finansowała domy dziecka i kościół, udzielała się społecznie w miejscowej społeczności, a nawet była radnym – mówili o nim olsztyńscy policjanci.*

### Od polityka do przestępcy

**H**enryk O. rozpoczął przestępczą karierę od fikcyjnych kolizji aut w celu wyłudzenia odszkodowań od ubezpieczyciela. Na pierwszy rzut oka nie było w tym nic odkrywczego, podobny proceder już pod koniec lat 80. ubiegłego stulecia był zmorą branży ubezpieczeniowej. Już wtedy zbierała się przy nim grupka popleczników, którzy zrobili sobie z tej działalności całkiem pokaźne źródło dochodów. Później razem oszukiwali ubezpieczycieli na „skradzione auto” i sfingowane pożary kombajnów zaprzyjaźnionych rolników. Maszyny były oczywiście dobrze ubezpieczone. Z roku na rok przestępcza działalność coraz bardziej ich wciągała. Przekonani o bezkarności zaczęli snuć plany kolejnych dochodowych przedsięwzięć, przy których oszustwa ubezpieczeniowe były przestępczym przedszkolem. Zajęli się przemyceniem ogromnych ilości alkoholu, papierosów i narkotyków, w tym trzech przemytów po 100 tys. pigułek gwałtu. Do tego doszły wymuszenia, pobicia i najcięższy z zarzutów – podejrzenie zlecenia zabójstwa dwóch osób, tj. Pawła K. i Piotra W. ze Szczecina, z którymi współpracował przy przemyśle papierosów. Ponoć był im winien jakieś pieniądze, ze zwrotem których dość długo zwlekał. Pod koniec maja szczerinianie przyjechali, żeby się z nim rozmówić. Wszystko wskazuje na to, że był to ostatni wyjazd w ich życiu.

19 listopada 2003 roku „Kulawy” trafił do aresztu, zaś jedenaście miesięcy później w areszcie znalazła się jego 47-letnia żona. Dopiero po zamknięciu kobiety, świadkowie zaczęli zeznawać. Wcześniej bali się, że prawa ręka mafioza może się na nich mścić za składanie zeznań obciążających jej męża.

Z ustaleń śledczych wyłaniał się obraz bezwzględnego i wyrachowanego przestępcy, który siłą swojego gangu zbudował dzięki brutalności w stosunku do swoich podwładnych i ofiar. Henryk O. nie znosił sprzeciwu, a niepokornych brutalnie krzywdził. Z materiałów zebranych w śledztwie wynika, że lokalny watażka miał kilka „metod” przesłuchań. Wbijanie igieł pod paznokcie i ściskanie kombiner-



kami palców rąk albo wiercenie wiertarką w stawach kolanowych należało do tych łagodniejszych. Jeśli ktokolwiek próbował go oszukać albo wystąpić z grupy, pan Henryk przy pomocy swoich ludzi karał niepokornego, bijąc kijami bejsbolowymi czy metalowymi rurkami. Nie miał litości nawet w stosunku do swojej najbliższej rodziny – za niesubordynację wywieziono do lasu jego siostrzeńca, tam pobito i straszono nieszczęśnika zastrzeleniem. Ciężkie rany nie ominęły swego czasu nawet syna lekarza, który leczył pana Henryka.

Wiele wskazywało na to, że „Kulawy” na wzór włoskich mafiozów zbudował lokalne imperium, którego był niepodzielnym władcą. Najprawdopodobniej udało mu się przekupić kilku miejscowych policjantów, lekarzy, prokuratorów, a nawet sędziów. Na cztery sprawy karne w miejscowym sądzie dotyczące przemytu, przechowywania kradzionych samochodów i nielegalnego przekraczania granicy skazany ani razu nie dostał odsiadki, a tylko płacił grzywny. Inni przestępcy sądzeni za podobne czyny dziwnym zbiegiem okoliczności nie mogli liczyć na taką pobłażliwość ze strony Temidy.

– *Kiedy jeden z naszych wpadł na kradzieży auta, Heniek telefonicznie instruuwał policjanta, że ma sprawie ukrećić łeb – można przeczytać w aktach sprawy. – Potem szef podziękował policjantom. On miał wprawę w korumpowaniu ludzi, wiedział, jak trzymać ich na smyczy.*

★ ★ ★

**J**uż kilkanaście lat temu oficjalnie mówiło się o biegłych sądowych, będących na usługach szefa gangu. Już nieoficjalnie mówi się



o niepracującym już w zawodzie lekarzu, będącym niegdyś takim biegłym. Najprawdopodobniej to on kilka lat temu wystawił na potrzebę sądu opinię o zdrowiu Henryka O. – Jak przeczytałem tę opinię, to pomyślałem: „Boże, ten facet powinien być trupem” – stwierdził inny biegły.

Lokalne media już przed laty przypominały, że były radny i lokalny przedsiębiorca od dawna był na bakier z prawem. Niejasne były okoliczności brutalnego morderstwa stomatologa ze Szczecina, w które był zamieszany jeden z braci Henryka O. Człowiek podejrzany o to morderstwo krótko potem popełnił samobójstwo w więzieniu – przebił sobie igłą serce. Drugi brat pana O. także miał splamioną krwią ręce. Był poszukiwany przez 10 lat za morderstwo.

**Rozwiązanie krzyżówki z paragrafem**

**POZIOMO:** wampir, niemowlak, półgłówek, drwa, Zeus, złodziej, adaptacja, oliwa, chusta, luz, akcja, kurort, cizła, unia, drobniak, czkawka, epoka, rów, ciasnota, autokar, afisz.

**PIONOWO:** Wiesław, miotta, igilwie, napad, kokos, raz, akord, zeg, ulewa, animacja, analiza, tyczkarz, czupryna, autor, odczyn, adwokat, toga, Antoni, badacz, cela, idol, krab, cwał, kita, kraj.

O dużych wpływach w okolicy opowiadał przed elbląskim sądem prywatny detektyw, który swego czasu odwiedził pana Henryka w celu odebrania od niego skradzionego luksusowego samochodu. Wizyta nie należała do najprzyjemniejszych: *Byłem w towarzystwie tamtejszych policjantów – zeznałem przed sądem detektyw. – Sprawa wydawała się prosta: odebrać auto, które stało na podwórku Henryka O. i odprowadzić do właściciela. Były radny powitał mnie w asyście swoich ochroniarzy. Wokół biegało kilka rozwścieczonych psów z mordami wielkości wiadra. Choć byłem ze swoimi ludźmi i mieliśmy broń, to gdy zaczął mi grozić, a policja nie reagowała, zrezygnowałem z dalszych pertraktacji. Zauważyłem jedno: policjanci bali się go bardzo. Gdy Henryk O. mi groził, oni nic nie zrobili. Proponowałem, by wezwali posiłki, ale z ławy przyjechało tylko dwóch funkcjonariuszy. Na naszych oczach to auto odjechało z posesji. Pan O. i jego ludzie czuli się bezkarni, a mnie policjanci powiedzieli, żebym się cieszył, że przeżyłem. To bandyta, który robił rzeczy niewyobrażalne nawet dla szefów mafii wołomińskiej czy pruszkowskiej. Oni przy nim są jak chłopcy w krótkich spodenkach.*

Ten sam detektyw w rozmowie z dziennikarzem lokalnego tygodnika przyznał: – *Henryk O. był bezwzględnym bandytą – twierdził detektyw. – Żył jak chciał i nikogo się nie bał. Gdyby wtedy zrobili obławę na jego dom, weszli tam, to znaleźliby wiele rzeczy, które potem powoli wywoził i ukrywał, zacierając dowody przestępstwa. Gdyby 8 lat temu go zamknęli, to ci biznesmeni by pewnie dziś żyli. A tak mamy tylko domysły. O całej jednak sprawie poinformowałem ówczesnego Komendanta Głównego Policji. Czuję, że trzeba tam „wpuścić” solidnie przygotowanych policjantów z zewnątrz.*

## Proces

**K**ilkuletnie śledztwo zostało udokumentowane w 120 tomach akt. Sporządzony przez prokuratora akt oskarżenia objął szesnaście osób, którym zarzucono ponad 140 czynów. Zdaniem prokuratury, grupa działająca od 1998 roku na terenie Polski, Niemiec, Holandii i Skandynawii miała na swoim koncie m.in. porwania dla okupu oraz wielomilionowy przemyt narkotyków, spirytusu i papierosów, a przede wszystkim dwa zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem – ofiary przed śmiercią miały być torturowane, a później ich ciała zostały przemielone w masarni należącej do Henryka O.

Henryk O. nie przyznał się do żadnego z zarzucanych mu czynów, mało tego, przekonywał, że zaginieni żyją, tylko ukrywają się przed wymiarem sprawiedliwości, obawiając się kar za działalność przemytniczą. W kilku wywiadach, których udzielił zza krat, przekonywał o swojej niewinności i bezradziejnej opiece lekarskiej: – *Pozbawiono mnie leczenia choroby mózgu, która jest niezbędna, leczenia choroby nerek i układu moczowego. Nigdy nie*



sądziłem, że w latach demokracji dzieją się gorsze rzeczy niż za PRL-u – skarżył się mediom.

Proces rozpoczął się jesienią 2006 roku i od początku cieszył się dużym zainteresowaniem mediów. Już podczas pierwszej rozprawy zastosowano nadzwyczajne środki ostrożności: budynku elbląskiej Temidy strzegła grupa antyterrorystów uzbrojonych w broń z ostrą amunicją. Przy wejściu do sądu ustawiono bramki z wykrywaczami metalu, a torby prześwietlane były na specjalnej taśmie. Pracownicy sądu sprawdzali, kto i po co do niego przyszedł. Dodatkowo przed wpuszczeniem kogokolwiek do sądu pies tropiący sprawdzał, czy w budynku nie podłożono ładunków wybuchowych. – *To pierwsza tak duża sprawa, ze względu na ilość zarzutów i ich ciężar gatunkowy, która będzie rozpatrywana przed naszym sądem* – tłumaczyła rzeczniczka Sądu Okręgowego w Elblągu. Dlatego ze względów bezpieczeństwa ograniczono liczbę obserwatorów: na salę sądową mogło wejść tylko 10 dziennikarzy i 30 obserwatorów, którzy usiedli w ławkach dla publiczności. Widok, który ujrzeli, był zaskakujący. Tak opisywali to dziennikarze: *Ława oskarżonych pełna. Trzech młodych mężczyzn jest ubranych w pomarańczowe uniformy. Mają na rękach i nogach kajdanki, połączone ze sobą łańcuchem. Należą do najgroźniejszych przestępców w kraju, szczególnie niebezpiecznych. Większość z nich nie ukończyła 30. roku życia. Młode twarze wydają się być wręcz miłe. Mężczyźni co chwilę się uśmiechają, porozumiewają między sobą na migi. Brak jakiegokolwiek skruchy, czy poczucia winy. Zupełnie jakby to nie o ich wolność chodziło, jakby byli na jakimś przedstawieniu. Naprzeciw nich na szpitalnym łóżku leży ich szef, sam Henryk O. Długa, siwa broda świadczy o długim przykuciu do szpitalnego łóżka. Mówi do specjalnego mikrofonu. Żona przez całą rozprawę bacznie obserwuje swojego męża. Wstaje nerwowo, kiedy ten jęczy z bólu i powtarza co chwilę „o Jezusie”. Momentami na jej twarzy maluje się ból i współczucie. Wydaje się cierpieć wraz ze swoim mężem. Najbliżsi współpracownicy O. wydają się nie przejmować swoim losem. Na przemian to ziewają, to porozumiewawczo uśmiechają się do siebie. Nie wytrzymują jednak, kiedy jęki ich szefa sięgają zenitu. Gdy jego cierpienie zdaje się wypełniać całą sądową salę, wszyscy maksymalnie wyężają wzrok. Ich oczy stają się nieprzyjemnie zimne. Napięte rysy twarzy emanują wrogością. Wszyscy jak jeden mąż patrzą wyłącznie w stronę szefa. Jakby oczekiwali od niego jakiegoś rozkazu...*

Powie ktoś, że to nieludzkie i niehumanitarne, aby po sądach ciągać starszego, schorowanego i wycieńczonego człowieka. Jednak w śledczym jego kalectwo nie wzbudziło większego współczucia. Jak udowodnił gangster, świetnie radził sobie ze swoją niepełnosprawnością na wolności. Będąc na wózku kierował gangiem, wyłudzał haracze, porywał ludzi, ale także podróżował po Europie,



czy też – jak zeznali świadkowie – bez skrupułów zdradzał żonę.

★ ★ ★

Po kilkunastu miesiącach proces – tak się przynajmniej wydawało – zbliżał się do końca. Prokurator i adwokaci szykowali się do wygłoszenia mów końcowych, gdy niespodziewanie Henryk O. wraz z żoną zażądali odczytania ponad stu tomów protokołów i dokumentów załączonych do aktu oskarżenia. Było to zgodne z kodeksem postępowania karnego (art. 394 paragraf 2: „Protokoły i dokumenty podlegające odczytaniu na rozprawie można uznać – bez ich odczytania – za ujawnione w całości lub w części. Należy jednak je odczytać, jeżeli którakolwiek ze stron o to wnosi.”) Niektórzy prawnicy twierdzą, że zapis ten jest przekleństwem polskiego sądownictwa – gdyby odrzucono wniosek państwa O., pojawiłoby się ryzyko uchylecia wyroku przez sąd drugiej instancji i skierowania sprawy do ponownego rozpatrzenia. Dlatego ich wniosku nie odrzucono, ale przedłużyło proces o przynajmniej półtora roku!

Oskarżyciel miał świadomość, że był to proces poszlakowy, a w każdej takiej sprawie udowodnienie winy i wydanie wyroku skazującego jest niezwykle trudne. Mimo to w sierpniu 2011 roku zażądał

## RODZINA „KULAWEGO”

dla Henryka O. oraz bezpośrednich sprawców zabójstwa Pawła K. i Piotra W. kar dożywotniego pozbawienia wolności. – *Jest w tej sprawie wiele niejasności* – mówił prokurator. – *Zdaję sobie z tego sprawę, jednak wszystkie fakty i poszlaki wskazują, że obaj mężczyźni stracili życie 30 maja 2003 roku, a śmierć ich nie była przypadkowa.*

W ostatnim dniu października 2011 roku w tej trudnej i skomplikowanej sprawie zapadły wreszcie wyroki. W czasie ich odczytywania Henryk O. – przywódca i założyciel grupy przestępczej – leżąc na łóżku szpitalnym od czasu do czasu przysypiał, pochrapując do mikrofonu stojącego przy jego łóżku. W pewnym momencie niespodziewanie zaczął krzyczeć, jakoby dowody jego winy zostały sfalszowane. Sąd stracił cierpliwość i nakazał wywiezienie oskarżonego z sali sądowej.

Wszyscy oskarżeni zostali uznani za winnych zarzucanych im czynów. Najsurowszy wyrok, tak jak można było od początku przypuszczać, usłyszał szef gangu. Sąd uznał, że jest on winny także zabójstwa dwóch biznesmenów ze Szczecina, którzy zaginęli w 2003 roku po tym, jak pojechali rozliczyć się z nim za papierosy. Mimo usilnych starań prokuratury ciała zaginionych mężczyzn nigdy nie odnaleziono.

– *Brak jest bezpośrednich dowodów na dokonanie zabójstwa, ale są poszlaki, które wystarczają do wydania wyroku skazującego* – mówił sędzia w ustnym uzasadnieniu wyroku. – *Początek to nieporozumienie w sprawie rozliczenia za papierosy, a domknięcie łańcucha poszlak to wypowiedź oskarżonego do swego brata „zrobiłem z tymi ch... porządek”. Nie ulega wątpliwości, że oskarżony był inspiratorem zabójstwa, bo miał motyw. Zwabił ofiary do swojej posiadłości i przy pomocy trzech współoskarżonych pozbawił ich życia.*

Poszlakami wskazującymi na to, że Henryk O. ze swymi ludźmi dokonał zbrodni, były m.in. billingi telefoniczne, na podstawie których można odtworzyć ich kontakty feralnego dnia, gdy doszło do zabójstwa oraz gdzie oskarżeni przebywali. Chodzi o to, że pan O. wielokrotnie łączył się z trójką „swo-

ich ludzi”, wydając im polecenia. Następną poszlaką – jak wskazał sąd – są relacje świadków, którzy opowiadali, jak oskarżeni brali łopaty, szpadle i wiadro z wapnem. Jeszcze innym pośrednim dowodem – według sądu – jest ostatni telefon wykonany do żony przez jednego z biznesmenów; w trakcie bardzo krótkiej rozmowy mówił, że „jest w K. i obawia się o swoje życie”.

Pozostała trójka mężczyzn, która była oskarżona o wykonanie zabójstwa, została skazana na kary po piętnaście lat pozbawienia wolności. – W stosunku do całej trójki nie zapadły wyższe wyroki tylko dlatego, że nie było dowodów na działanie ze szczególnym okrucieństwem. Ponadto przy ferowaniu wyroku sąd wziął pod uwagę, że nie udało się precyzyjnie ustalić, kto był bezpośrednim wykonawcą zbrodni.

### Rachunki są nieublagane

**H**enryk O. jest sparaliżowany od pasa w dół (to efekt groźnego wypadku samochodowego, w którym uczestniczył przed kilkunastoma laty) i tylko dzięki opiece specjalistów mógł uczestniczyć w rozprawie sądowej. Przez wiele lat na wszystkie rozprawy dowożony był z aresztu na łóżku szpitalnym. Ponieważ cierpi także na liczne choroby, których nabawił się już za kratami, na sali przez cały czas musieli być przy nim sanitariusze oraz lekarz.

Był to jeden z najdłuższych, najtrudniejszych i najdroższych procesów w dziejach polskiego wymiaru sprawiedliwości. Trwał ponad 5 lat, odbyły się aż 334 rozprawy, a akta sprawy urosły do niemal 300 tomów. Szacuje się, że wszystkie rachunki w tej sprawie opiewały łącznie na kwotę blisko czterech milionów złotych. Złożyły się na to między innymi honoraria kilkunastu obrońców z urzędu, zwrot kosztów podróży wezwanych na sprawę świadków (jako że niektórzy przyjechali z zagranicy, były to spore wydatki), kilkuletni postój na strzeżonych parkingach zabezpieczonych w tej sprawie samochodów, liczne opinie lekarskie, a przede wszystkim zapewnienie stałej opieki medycznej dla głównego oskarżonego.

Trudność tego procesu polegała nie tylko na braku bezpośrednich dowodów winy i chorobie głównego oskarżonego. Ten ostatni wykorzystywał wszystkie prawne możliwości, żeby przedłużyć proces. Dwa lata przed ogłoszeniem wyroku, na wniosek Henryka O. oraz jego żony, trzeba było odczytać całą dokumentację zgromadzoną w 250 tomach akt sprawy. Był to wybieg formalny: nie wnosił do sprawy nic nowego, jednak trzeba go było zrealizować. Jakby tego było mało, lekarz pozwolił oskarżonemu uczestniczyć w rozprawach trwających maksymalnie cztery godziny, zaś sam główny oskarżony co chwilę przerywał sędziemu... głośno chrapiąc albo składając niezrozumiałe, albo wręcz irracjonalne wnioski. Tak było np. w dniu, kiedy domagał się odsunięcia od sprawy sędzie-



go przewodniczącego, co byłoby równoznaczne z rozpoczęciem procesu od nowa. – *Ten człowiek jest arogancki i niekompetentny* – pan O. tłumaczył swój wniosek. – *Nie uwzględnia moich wniosków, a faworyzuje prokuraturę, która tworzy fałszywe dowody. Ten sam sędzia sprawił, że pogorszył się mój stan zdrowia, gdyż na sali są pootwierane okna i są przeciągi.*

Henryk O. od początku rozprawy perfekcyjnie wykorzystywał swój stan zdrowia, by w nieskończoność przedłużać chwilę ogłoszenia wyroku. Często uskarżał się na bóle stawów, kołatanie serca, nudności i zawroty głowy. Wielokrotnie oskarżał lekarzy sądowych, że „są w zмовie z lekarzem więziennym” i razem z nim eksperymentują, stopniowo go uśmiercając. Kilka razy domagał się szczegółowych badań, dodatkowych posiłków i wyjść do łaźni. W czasie upałów celowo przykrywał się kocem, żeby zwiększyć temperaturę ciała.

### Sądowych perypetii ciąg dalszy

**P**o ogłoszeniu wyroku niemal wszyscy obrońcy zapowiedzieli wniesienie apelacji. Do jej napisania potrzebne było pisemne uzasadnienie wyroku sądu pierwszej instancji. Trzeba było czekać blisko dziesięć miesięcy. Powie ktoś, że to bardzo długo... ale biorąc pod uwagę, że miało ono ponad pięćset stron maszynopisu, termin ten wydaje się jak najbardziej uzasadniony.

W apelacji obrońca Henryka O. podnosił przede wszystkim fakt nieodnalezienia ciał zaginionych mężczyzn, którzy – według oskarżyciela – mieli zostać zamordowani. *Gdyby uznać, że każda osoba, która zaginęła nie żyje, bo została zabita, to w każdej takiej sprawie, a są ich prawie tysiące, winno być prowadzone postępowanie o zabójstwo, co jednak przecież nie następuje. W tej sprawie nie odnaleziono zwłok, niemniej powinien istnieć inny materiał dowodowy potwierdzający zabójstwo, np. świadek zabójstwa, czy osoba, która widziała zwłoki – czego przecież brak w tej sprawie i co zdaje się umknęło sądowi pierwszej instancji.*

W wyniku apelacji wniesionej przez kilku obrońców sąd drugiej instancji w maju 2013 roku uchylił najważniejszą część wyroku elbląskiej Temidy dotyczącą podwójnego zabójstwa i skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia w pierwszej instancji, jednocześnie utrzymując karę 15 lat więzienia wobec Henryka O. za inne zarzuty, w tym kierowanie grupą o charakterze przestępczym. Z pisemnego uzasadnienia wynikało, że w sprawie tej było „wiele domniemań i hipotez, które nie zawsze się zazębiały i nie zostały poparte dowodami”. Trzech innych gangsterów skazano na kary po 15 lat więzienia. Inni członkowie gangu usłyszeli wyroki za wprowadzenia dla okupu, pobicia, posiadanie broni, handel narkotykami oraz przemyt alkoholu i papierosów. Większości z nich obniżono wyroki, zawieszając je warunkowo lub zamieniając na karę grzywny. W przypadku trzech osób sprawa została przeka-



zana do ponownego rozpatrzenia. Gdański Sąd Apelacyjny wykreślił też z aktu oskarżenia zapis, że organizacja, której przewodniczył Henryk O., miała charakter zbrojny. Zaplanowana na 22 kwietnia 2015 roku pierwsza rozprawa przed Sądem Okręgowym w Elblągu nie odbyła się, gdyż rozchorował się jeden z dwóch sędziów zawodowych orzekających w tej sprawie. I niech ktoś powie, że nad tą sprawą nie wisi jakieś fatum! Kolejny termin wyznaczono na 12 maja. Kilka dni przed planowaną rozprawą jeden z oskarżonych, ukrywający się przed wymiarem sprawiedliwości, przysłał do swojego adwokata z dalekiego Meksyku maila, w którym zadeklarował powrót do Polski pod warunkiem, że nie zostanie natychmiast aresztowany. Mężczyzna dodatkowo chciał wpłacić poręczenie majątkowe w wysokości 200 tysięcy złotych. – *Gdyby nie złożoność całej sytuacji procesowej, to można by powiedzieć, że sąd został postawiony pod ścianą. Biorąc jednak pod uwagę względy ekonomiki, ten wniosek wydaje się racjonalny* – przyznał prokurator. – *Wyłączenie do odrębnego postępowania tego oskarżonego w takim procesie jednak rodziłoby dosyć spore komplikacje. Mimo wszystko wydaje mi się, że w tej sytuacji proces nie zakończy się szybko. Poprzedni proces trwał 5 lat. Teraz może połowę krócej...* ■

**Roman Bartosiak**

Imiona, pierwsze litery nazwisk i niektóre szczegóły zostały zmienione.

# ŻONA TERRORYSTY

Konrad SZYMALAK

Joanna P. przybyła do Paryża na początku lat dwiędziesiątych i podjęła pracę w jednym ze znanych hoteli jako pokojówka. Właśnie tam rozpoczęła się jej znajomość z Karimem B., który podawał się za pracownika korporacji naftowej. Zakochana dziewczyna uległa namowom Francuza mającego algierskie korzenie i rzuciła pracę, by zająć się wyłącznie prowadzeniem domu. W 1997 roku urodziła syna, Mikołaja, a dwa lata później przyszła na świat córeczka Anna.

Będąc szczęśliwą matką i żoną, nie mogła przypuszczać, że jej mąż zamiast handlować ropą, sprzedawał śmierć.



**I**ch małżeństwo było zdaniem sąsiadów udane. Karim B. i jego żona byli zgodni, nie słyhać było dobiegających z ich domu kłótni, kochali się. Ona co dzień rano wyjeżdżała na rowerze do piekarni po świeże pieczywo, a on zwykle wychodził w garniturze, z teczką w ręku do pracy. Gdy męża nie było, Joanna sama zawoziła dzieci do przedszkola, a następnie wracała do domu, by zająć się swoimi obowiązkami. Rzadko odwiedzała ją rodzina z Polski, a także niezbyt często przychodzili do niej znajomi. Jeśli już przyjmowała jakichś gości, to zawsze w obecności męża i dzieci. Sąsiadka Joanny żałowała jej trochę, gdyż młoda kobieta powinna mieć trochę więcej od życia niż tylko domowe obowiązki. Znała jednak wiele kobiet mających mężów muzułmanów i zdawała sobie sprawę, że sytuacja w domu obok była normalna.

### Zabójstwa w delegacji

**K**arim B. często opuszczał dom pod pretekstem podróży służbowych. Joanna nie miała prawa skojarzyć terminów wyjazdów męża z zamachami bombowymi i zabójstwami, gdyż działał on na Bliskim Wschodzie, skąd docierały do europejskich mediów jedynie wieści o poszczególnych aktach terroryzmu, a nie informowano o wszystkich zamachach. Na trop bezwzględного islamskiego mordercy wpadły francuskie służby specjalne w lipcu 2002 roku. Był on podejrzany o zastrzelenie w centrum Tel-Awiwu członka partii Likud. Zamachowiec został już rozpoznany na lotnisku Ben Guriona, ale pozwolono mu przedostać się z powrotem do Francji, by móc namierzyć jego współników. Joanna B.-P. nie wiedziała, że jej mąż był obserwowany. Zauważyła jedynie, że od pewnego momentu pod jej drzwiami pojawiało się wielu kurierów z pomyłonymi przesyłkami, którym bardziej niż na ich doręczeniu zależało na zajrzeniu do środka domu.

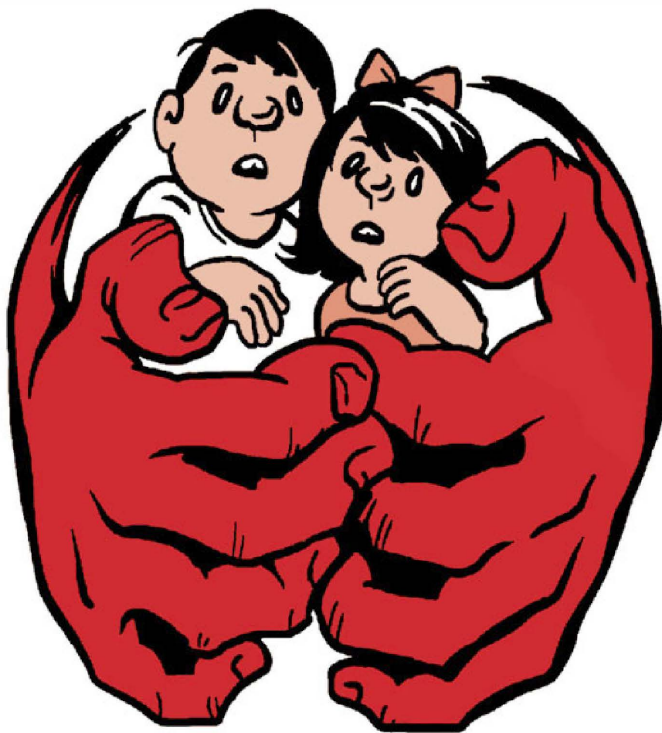
Joanna i Karim mieszkali w podparyskim Chatillon, miasteczku, w którym mieszkańcy byli obsługiwani przez tych samych kurierów od wielu lat. Tymczasem pod dom B. co kilka dni przyjeżdżali inni pracownicy, szukający poprawnego adresu, który w rzeczywistości nie istniał. Kiedy poinformowała o swoim spostrzeżeniu męża, ten bardzo się zaniepokoił i wytłumaczył jej, że mogli to być prywatni detektywi wynajęci przez konkurencyjną korporację. Karim B. stał się bardzo ostrożny i zaprzestał zbrodniczej działalności w obawie przed zdradzeniem pozostałych członków islamskiej grupy terrorystycznej. Funkcjonariusze DGSE (Francuskie Służby Bezpieczeństwa Zewnętrznego) wobec braku

dalszej aktywności ze strony Karima B. zdecydowały się postawić mu zarzuty w sprawach zbrodni, o które był podejrzewany w Izraelu. Terrorysta zaczął wierzyć, że Joanna współpracowała z DGSE i podjął próbę ucieczki wraz z rodziną z Francji. Joanna była do końca przeciwna wyjazdowi do Algierii. Znała rodzinę Karima i od momentu ślubu unikała z nimi kontaktu, gdyż nie czuła się dobrze w towarzystwie fanatycznych muzułmańskich konserwatystów, wyczulonych na jej europejskie maniery. Plan Karima B. jednak nie powiódł się, ponieważ na dwa dni przed wylotem do Algierii został aresztowany. Był pewny, że zdradziła go żona.

### Tragedia rodziny

**J**oanna nie została aresztowana pod zarzutem współpracy z terrorystą, ale wezwano ją na przesłuchanie w sprawie męża. Gdy dowiedziała się, z kim dzieliła życie – zemdlła. Reakcja ta nie była zaskakująca w sytuacji, w jakiej znalazła się Polka. Funkcjonariusze przewidywali, że Joannie i jej rodzinie mogło grozić niebezpieczeństwo ze strony współników Karima, dlatego zostali objęci specjalną ochroną. Jednak, okazała się ona niewystarczająca... Z jej domu w Chatillon 12 lutego 2003 roku nieznanymi sprawcami uprowadzono Annę i Mikołaja. Dramat kobiety trwał trzy miesiące. Policja zapewniała ją, że dzieci muszą przebywać na terenie Francji, ale ona była przekonana, że wywieziono je do Algierii. Zapewniano ją jednak, że sprawdzono wszystkich pasażerów wylatujących i przylatujących do Algierii. Ona sama twierdziła, iż dzieci prawdopodobnie przewieziono drogą lądową do innego kraju UE, a stamtąd porywacze mogli wylecieć do Maroka lub Tunezji. Funkcjonariusze obalali jednak tę tezę zapewnieniem, że „żadna straż graniczna nie wpuściłaby kogokolwiek do samolotu z dwójką obcych dzieci”.

W maju okazało się, że analitycy DGSE mieli rację, gdyż dzieci przebywały na terenie Francji. Małżeństwo J. z Lyonu zawiadomiło policję o podejrzanej sytuacji, jaką zauważyli na ulicy pod swoim domem. Muzułmańska kobieta z zasłoniętą twarzą szarpała dziewczynkę, która krzyczała: „Chcę do mamy!”. Lokalne władze natychmiast podjęły działania. Ustalono, że we wskazanej przez J. kamienicy było jedno mieszkanie wynajmowane od niedawna przez algierską rodzinę. Oddział antyterrorystyczny wyważył drzwi, a w środku zastał jedynie małą i przestraszoną Annę B. obok jej „opiekunów”. Dziewczynka twierdziła, że nie widziała się z bratem od ponad miesiąca, kiedy to zabrano ją od niego do mieszkania w Lyonie.



Zatrzymani w mieszkaniu Abdelaziz G., Mohamed M. i Jasmina R. twierdzili, że dziewczynką zajmowali się na prośbę znajomych z Paryża. Cała trójka trafiła za kratki, ale tak sprytnie lawirowali fałszywymi adresami i nazwiskami, że z ich zeznań nie udało się ustalić nic wiarygodnego w sprawie sprawcy porwania ani współników Karima B. Natomiast podczas zajęć z psychologiem udało się dowiedzieć od małej Anny, gdzie najprawdopodobniej przetrzymywany był jej brat. 4-latką z taką dokładnością potrafiła opisać wieżę kościoła, którą widzieli przez okno na poddaszu, że w ciągu kilkudziesięciu minut udało się ustalić nie tylko kościół, do którego należała wieża, ale także, z której strony i w jakiej odległości mieściła się kryjówka bandytów. Podczas przewożenia do Tournus – bo tam mieścił się ów kościół – oboje

mieli zawiązane oczy. Jednak podczas oględzin okolicy z funkcjonariuszami bez problemu wskazała dom, w którym ostatni raz widziała się z bratem. Szybka akcja policji pozwoliła na aresztowanie kolejnych sprawców i uwolnienie Mikołaja.

### Życie w strachu

Joanna B.-P. wróciła z dziećmi do swojego domu w Chatillon. Byli pod ochroną służb specjalnych. Mimo tego Joanna nie czuła się bezpieczna. Jej lęki spotęgowało zdarzenie z 11 czerwca, kiedy to Mikołaj bawił się z dziećmi sąsiadów na pobliskim placu zabaw. Nagle podjechał czerwony Citroen, z którego wysiadło dwóch Arabów i zaciągnęło przestraszonego chłopca do auta. Całą sytuację widzieli funkcjonariusze służb specjalnych, którzy ze względów proceduralnych nie mogli zareagować od razu. Obserwatorzy zawiadomili oddział szturmowy i skupili się na śledzeniu arabskich porywaczy. Citroena próbował zatrzymać patrol policji przy wyjeździe z Chatillon, ale przestępcy zorientowali się, iż policja wiedziała już o porwaniu i podjęli próbę ucieczki samochodem. W pościg włączony został śmigłowiec i bandyci po niespełna dwudziestu minutach zostali ujęci na drodze do Paryża.

Porywaczami okazali się dwaj pracownicy restauracji ze stolicy. Joanna B.-P. zabiegała o jeszcze ściślejszą ochronę ze strony policji, ale jej prośby zostały odrzucone. Sytuacja stała się jeszcze bardziej groźna, gdy 10 sierpnia 2003 roku z aresztu śledczego w niewyjaśnionych okolicznościach uciekł Karim B. Na Polkę i jej dzieci padł blady strach. Już drugiego dnia po ucieczce męża, otrzymała list z pogrożkami, w którym on obiecywał jej okrutną śmierć za zdradę. Joanna nie miała nawet możliwości, żeby wytłumaczyć małżonkowi, iż nie miała nic wspólnego z faktem, że policja wpadła na jego trop. Fanatyczny terrorysta Karim B. był jednak zaślepiiony nienawiścią.

Mężczyzna był poszukiwany międzynarodowym listem gończym, ale przez wiele miesięcy policja nie mogła trafić na żaden ślad. W Lyonie i Paryżu służby specjalne zlokalizowały dwa mieszkania, w których terroryści, najprawdopodobniej powiązani z Karimem, ukrywali broń. Znalezione w nich materiały wybuchowe, a także broń maszynową, snajperską i szereg wymyślnych maczet oraz noży. W związku z jego sprawą policja zatrzymała blisko trzydzieści osób podejrzanych o współpracę z Karimem B. On sam jednak pozostawał nieuchwytny.

Aby chronić Joannę i jej dzieci przed gniewem i żądzą zemsty męża, władze zdecydowały się ulokować Joannę i jej dzieci w posiadłości w okolicach miasta Nantes nad Oceanem Atlantyckim, gdzie przez ponad piętnaście miesięcy przeby-

Kiedy pani Patterson została w pokoju sama, skorzystała z okazji, by po kryjomu przeczytać obciążające ją zeznanie. Aby włączyć do reki interesujący ją protokół, kobieta musiała podnieść okulary komisarza, które policjant zostawił na stole przesiadania na swoim biurku. Dzisiaj w stresie i pośpiechu, szybko rzuciła okiem na interesujący ją fragment zeznań i zaraz potem odłożyła dokument na biurko. Okulary komisarza położyła dokądś w tym samym miejscu, jednak z powodu napięcia nerwowego nie zauważyła, że położyła je w odwrotnej pozycji!

Rozwiązanie zagadki kryminalnej ze str. 64  
pt. „Boss w spodnicy”

wali pod stałą ochroną policji. Odetchnęli dopiero w listopadzie 2005 roku, kiedy morderca wpadł w ręce hiszpańskiej policji. Po przekazaniu więźnia do Francji potwierdziło się, iż był to Karim B. W dalszym ciągu pozostawało jednak ryzyko ataku na Joannę ze strony jego współników. Kobieta nie chciała dalej żyć w ukryciu. W porozumieniu z rodzicami zdecydowała, że wróci z dziećmi do Polski. Pani Joanna odziedziczyła po babci mieszkanie w Dąbrowie Górniczej, o którym Karim na szczęście nic nie wiedział. W Polsce był z wizytą u swoich teściów dwa razy, natomiast większości rodziny P. nie znał. Francuskie służby bezpieczeństwa były przeciwne wyjazdowi Joanny, ale nie miały prawa jej zabronić. Raczująca wówczas europejska współpraca polskiej policji z unijnymi posterunkami nie mogła w stu procentach zapewnić jej i dzieciom ochrony, ale sprawa i jej szczegóły były znane śląskiej policji.

### Polska rzeczywistość

Joanna po przybyciu do Dąbrowy Górniczej, w listopadzie 2005 roku, bardzo ostrożnie stawiała pierwsze kroki na ojczystej ziemi. Ze względu na bezpieczeństwo własne i swoich dzieci zdecydowała się zmienić nazwisko. Jej rodzice bacznie obserwowali okolicę swojego domu, gdyż zdawali sobie sprawę, że Karim B. znał ich adres i ewentualny atak mógł nastąpić właśnie tam. Państwo P. nie pomylili się. Po kilkunastu tygodniach, w styczniu 2006 roku, znaleźli w skrzynce list napisany w języku francuskim, w którym ktoś związany z mężem ich córki groził jej śmiercią.

Sam Karim z pewnością nie napisał tego listu, gdyż przebywał w więzieniu o zaostrzonym rygorze, a ponadto Joanna stwierdziła z całą pewnością, iż nie był to jego charakter pisma. Ten fakt przekazano do francuskiego DGSE, które chciało wystąpić do polskich władz o możliwość poprowadzenia dalej sprawy przez francuskich funkcjonariuszy, jako że chodziło o troje francuskich obywateli, ale formalności trwały tak długo, że sprawa rozwiązała się sama, zanim Francja zdołała uzyskać odpowiednie pozwolenia. Na szczęście córka państwa P. wraz z dziećmi przebywała w odległości 60 kilometrów od ich domu i nie została w tym czasie „namierzona” przez islamskich popleczników zięcia-psychoopatę.

W sobotę 18 marca 2006 roku około godziny osiemnastej do dyspozytora śląskiej policji dotarło zgłoszenie o brutalnym pobiciu dwóch mężczyzn na jednym z osiedli. Zostali zabrani do szpitala w Rybniku, gdzie funkcjonariusze ustalili, że poszkodowanymi było dwóch obywateli francuskich o arabskich rysach twarzy.



Informację o napadzie przekazano do francuskiego konsulatu, który natychmiast zwrócił się do polskiej policji o zatrzymanie obu mężczyzn. Abdel H. i Radja P. byli poszukiwani w sprawie Karima B. Ten pierwszy był jego kuzynem podejrzanym o współpracę z terrorystami. Francuzi przybyli do Polski w ślad za Joanną B.-P., by dokonać na niej aktu zemsty za jej męża. Jednak nie wzięli pod uwagę realiów, jakie panowały na śląskich osiedlach. W czasie gdy obserwowali mieszkanie państwa P. w nadziei, że pojawi się u nich córka, z meczu lokalnej drużyny piłkarskiej wracała grupa około trzydziestu pseudokibiców. Kiedy zobaczyli dwóch Arabów, nie omieszkali ich zaczepić. Nie mówiący po polsku Abdel H. i Radja P. zostali skatowani kijami baseballowymi, pałkami teleskopowymi i deskami wyrwanymi z pobliskiego placu zabaw. Doznali licznych złamań, wstrząśnienia mózgu i rozległych urazów wewnętrznych. Radja P. już nigdy nie wrócił do pełnej sprawności, resztę życia spędzając na wózku inwalidzkim. Abdel H. również przez wiele miesięcy był poddawany we francuskich zakładach penitencjarnych rehabilitacji, by znów móc samodzielnie się poruszać. Obaj zostali skazani na kary pięciu lat więzienia. W czerwcu 2006 roku Karim B. usłyszał przed sądem w Paryżu wyrok dożywotniego pozbawienia wolności. Pani Joanna uzyskała rozwód, a jej były mąż został pozbawiony praw rodzicielskich. Rodzina zdecydowała się pozostać w Polsce. ■

**Konrad Szymalak**

Dane osobowe zostały zmienione.

# Z kraju i ze świata

## Warsztat pełen marihuany

Ponad 700 tysięcy złotych to czarnorynkowa wartość marihuany, ujawnionej przez radomskich policjantów, w miejscowości Promna (powiat białobrzeski) na Mazowszu. To jedna z największych w Polsce plantacji konopi indyjskich, zlikwidowanych w ostatnich latach. Rośliny uprawiane były w budynku, który z zewnątrz podobny był do warsztatu samochodowego. Dwa pokoje zostały zaadaptowane i wyposażone w niezbędny sprzęt, mający stworzyć roślinom jak najlepsze warunki do wzrostu – były automatycznie nawadniane, a wszystkiego pilnowała aparatura, w tym lampy i wiatraki. Niektóre z roślin osiągnęły ponad metr wysokości. Zatrzymano cztery osoby w wieku 30-34 lata. Trzy z nich trafiły do aresztu, czwarty podejrzany, po przesłuchaniu, został zwolniony do domu. Za posiadanie znacznej ilości środków odurzających grozi kara do 10 lat więzienia. ■

## Sprzedawali nie swoje filmy

Funkcjonariusze z Wydziału do Walki z Cyberprzestępczością Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu rozbili gang, którego członkowie za pośrednictwem internetu nielegalnie rozpowszechniali filmy. Policjanci przeszukali pomieszczenia mieszkalne, biuro-

we oraz samochody należące do zatrzymanych mężczyzn. Podczas tych czynności funkcjonariusze zabezpieczyli wiele sprzętu informatycznego służącego do przestępczego procederu, m.in. 14 komputerów, 13 dysków zewnętrznych, serwerownie, kilka telefonów komórkowych, płyty DVD, karty SIM oraz pendrive'y. Łączna wartość sprzętu szacowana jest na 45 tysięcy złotych. Według wstępnych szacunków policji, straty spowodowane przez zatrzymanych mogą wynieść nawet 5 milionów złotych. ■

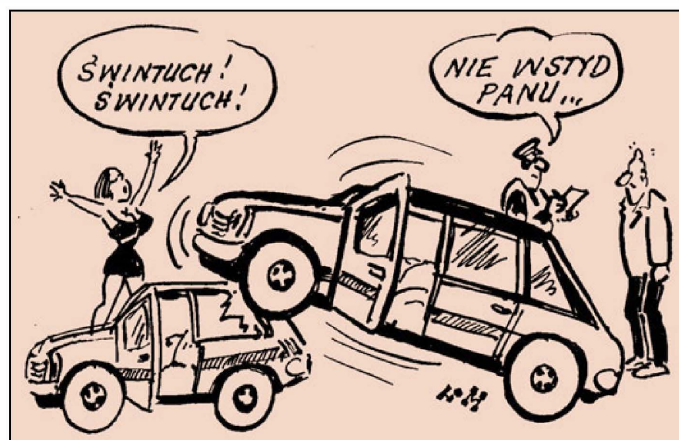
## Bezrobotne córki Koryntu

Od 1 czerwca 2015 prostytutki w Irlandii Północnej powinny szukać nowego zajęcia. Wszystko z powodu zmian w tamtejszym prawie, bowiem od kilku tygodni kupowanie usług seksualnych jest traktowane tam jako przestępstwo. Klientom grozi za to grzywna w wysokości tysiąca funtów i nawet rok więzienia. Według nowych przepisów do złamania prawa dochodzi, gdy klient użyje usługi seksualnej, płacąc za nią lub obiecując zapłatę – bądź

osobie świadczącej usługi, bądź pośrednikowi. Wcześniej prawo przewidywało jedynie kary za płacenie prostytutce działającej pod przymusem. Zwolennicy nowych przepisów przekonują, że pozwolą one na walkę z handlarzami ludźmi. Krytycy, w tym minister sprawiedliwości David Ford, wskazują, że prawo będzie trudne do egzekwowania i całkowicie zepchnie ono prostytutkę od podziemia. ■

## Pacjent zabił pacjenta

Do dramatycznego zdarzenia doszło w szpitalu psychiatrycznym w podwarszawskim Pruszkowie. Około godziny 7.00 do dwuosobowej sali, w której przebywał jedynie 40-letni mężczyzna, wszedł pacjent z sąsiedniego pomieszczenia, po czym zaczął go dusić, a potem uderzać jego głową o podłogę. Zaatakowany zginął na miejscu. Dramat rozegrał się podczas zmiany personelu. Swoją dyżur kończyła nocna zmiana, a przejmowała poranna. Do zabójstwa doszło na oddziale ogólnym psychiatrycznym, po którym pacjenci mogą swobodnie się poruszać. Znajdują się tam osoby z różny-







mi rozpoznaniem, także te, które dostają niespodziewanych ataków agresji lub popadają w psychozę. Pacjenci są zamykani lub unieruchamiani dopiero, gdy stwarzają zagrożenie. ■

## Zemsta hakera

Ofiarą hakerów padł największy na świecie internetowy serwis randkowy Adult Friend Finder, (z którego usług na całym świecie korzystają 63 miliony osób). W internecie zamieszczono dane prawie 4 milionów użytkowników, m.in. preferencje seksualne, adresy e-mailowe, daty urodzenia i kody pocztowe. Brytyjska telewizja Channel 4 zwróciła uwagę, że wśród użytkowników, których dane skradziono, są pracownicy rządowi i zawodowi żołnierze. Eksperci przypuszczają, że

hakerzy będą usiłowali wykorzystać te dane do prób szantażu. Ze wstępnych ustaleń wynika, że ataku dokonał pewien haker z Tajlandii. Podobno Adult Friend Finder był mu winien jakieś pieniądze, więc haker wykradł dane, aby szantażem wymusić wypłacenie należności. Gdy plan ten się nie powiódł, dyszący żądzą zemsty haker zamieścił skradzione dane w sieci. ■

## Nie nacieszył się rekordem

56-letni Francuz chciał pobić rekord baru wypijając 56 kieliszków wódki. Udało się, zwycięzca wrócił do domu z pomocą córki i znajomych. Zanim usnął, pogorszył się stan jego zdrowia, trzeba było wezwać pogotowie. Następnego dnia zmarł w szpitalu. Barman, który nie powstrzymał swojego

klienta przed wypiciem śmiertelnej dawki alkoholu został oskarżony i skazany na cztery miesiące więzienia, jako karę dodatkową orzeczono roczny zakaz pracy za barem. ■

## Dama za kierownicą

Pewna osiemnastoletnia Niemka z gminy Lippe w Nadrenii-Północnej Westfalii, która dopiero co zdobyła prawo jazdy, nie zauważyła jadącej drogą kolumny brytyjskich czołgów Challenger2 i włączając się do ruchu zderzyła się z jednym z nich. Kierującą ostatnią z maszyn 24-letni żołnierz zauważył nadjeżdżający samochód i próbował wyhamować. Nie udało mu się i przejechał prawą gąsienicą po masce auta. Na szczęście młodej pani kierowcy nic się nie stało! ■



# NAJWYŻSZY

Jerzy BLASZYŃSKI

# WYMIAR KARY

Młody inżynier przyjechał na święta wielkanocne do rodziny na wieś. Drugiego dnia odwiedził koleżankę. Do domu już

nie wrócił. Śmigus-dyngus skończył się dla niego tragicznie. Został brutalnie zamordowany.



**W** konfrontacji z zabójcą ofiara nie miała najmniejszych szans. Prokurator uznał, że kara 25 lat więzienia za bestialskie zakatowanie człowieka to za mało. W wyniku rewizji oskarżyciela zapadł wyrok śmierci dla głównego sprawcy tej wstrząsającej zbrodni. Był to jeden z ostatnich na Lubelszczyźnie przypadków orzeczenia najwyższego wymiaru kary.

★ ★ ★

**W**ielkanoc w 1979 roku wypadła w połowie kwietnia. Było zimno, wietrznie, słońce na krótko wychodziło zza chmur. Na polach tworzyły się gigantyczne kałuże. To efekt roztopów po długiej i ostrej „zimie stulecia”, która kilka miesięcy wcześniej sparaliżowała kraj wzdłuż i wszerz. Zapowiadano kolejne przymrozki oraz opady deszczu ze śniegiem. Obawiano się, że kiepska pogoda przeszkodzi rolnikom w pracach polowych.

Tadeusz T. spędzał święta w podlubelskiej Alojźówce, w domu swoich rodziców. Byli bardzo dumni z syna inżyniera. Dobry z niego chłopak, a jaki zdolny i pracowity! Roboty w polu także nie zapomniał. Gdyby jeszcze znalazł sobie jakąś fajną dziewczynę i ożenił się. Niejedna z miejscowych panien z ochotą wydałaby się za Tadzika, który studiował na politechnice, władał językami obcymi, a za parę lat, kto wie, może dyrektorem zostanie. Jemu jednak do ożenku pilno nie było, mimo iż niedawno skończył 27 lat.

W drugi dzień świąt obudziły go wesole krzyki i piski. Wyjrzał przez okno i zobaczył chłopaków, którzy usiłovali oblać wodą z wiader przechodzącą drogą dziewczyny. Wprawdzie najlepszego dyngusa sprawiła w tym roku aura, ale młodym najwyraźniej nie przeszkadzał ani deszcz, ani parostopniowa temperatura.

Do pokoju wszedł ojciec. Zaczął namawiać Tadeusza, żeby dołączył do tamtych. – Tato, czy ja nie jestem już trochę za stary na polewanie dziewczyn? – uśmiechnął się syn. Nie miał zamiaru w taki ziąb nigdzie wychodzić. Do późnych godzin oglądał w telewizji western „Dwa oblicza zemsty” z Marlonem Brando w roli głównej i z chęcią by jeszcze pospał.

– A tam, gadanie! Stary to ja jestem, a przed tobą Tadek, całe życie. A może jednak pójdziesz? Hanka od Wiśniewskich tak się na ciebie wczoraj w kościele gapiała, że...

– Ależ tata uparty...

– To co? Dać ci wiaderko?

– Ojciec, nie męcz mi chłopaka! – matka wsadziła głowę do pokoju. – Będzie chciał, to pójdzie. A teraz niech sobie odpocznie do woli, przecież to święta. Tadziku, odgrzać ci bigosu?

Przy śniadaniu młody inżynier wypytywał o znanych mieszkających w Alojźówce i innych okolicznych miejscowościach. Nabrał ochoty na prze-

chadzkę. Powiedział, że odwiedzi w Nowej Kępówce Celinę S., z którą chodził do tej samej szkoły.

Rodzice uśmiechnęli się i spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Proszę, proszę, jaki z Tadzia amant! Całkiem trafny wybór. Celinka porządna dziewczyna, jej rodzice też poczciwi ludzie. Szkoda tylko, że w takie zimno chłopak będzie musiał na piechotę zasuwać. Ale przecież to tylko niecałe dwa kilometry, więc nic mu się nie stanie. Dobrze, że już nie pada, nawet słońce wyjrzało. A następnym razem pewnie przyjedzie do nich własnym autem. Nie tak trudno kupić dziś „malucha” czy dużego fiata. Choćby i na giełdzie samochodowej. Tadek zna się na maszynach, więc kitu nikt mu nie wciśnie. Jak trzeba będzie, to mu dołożą do kupna; dzięki Bogu jest z czego.

– Kiedy wrócisz? – spytała matka. Tadeusz uśmiechnął się i odpał, że nie tak prędko. Na odchodnym pomachał rodzicom. Nie przypuszczali, że po raz ostatni widzą syna żywego.

★ ★ ★

**K**ozłów Górny to wieś odległa od Alojźówki o ponad 15 kilometrów. Położona pośród lasów i malowniczych pagórków miejscowość ma bogate tradycje partyzanckie i niepodległościowe. W minionej epoce nie należało jednak chwalić się znajomością tego fragmentu historii.

Tu młodzież również obficie polewała się wodą, chodząc od gospodarstwa do gospodarstwa. Kilkuosobowa grupa dyngusowiczów miała już porządnie w czubie. Śmigusowy zwyczaj nakazywał bowiem gospodarzom zaprosić polewających na – zakrapiany, ma się rozumieć – poczęstunek.

W pewnym momencie dwaj dziewiętnastolatki, Zbigniew C. i Mirosław R., wpadli na pomysł odwiedzenia dziewczyn w jednej z sąsiednich wsi. Pogoda nieco się poprawiła i nabrali ochoty na wycieczkę motocyklową. Żaden z kolegów ich nie powstrzymał. Fakt, co nieco wypili, ale przecież stali na nogach, nie bełkotali. Głowy mieli mocne. Nie zaprotestowali też rodzice, chociaż widzieli, jak synowie wyprowadzali swoje wu-eski, a potem na nich odjechali. Nie było sensu martwić się na zapas. Milicja też dziś świętuje, zresztą na bocznych wiejskich drogach prędzej można spotkać zająca lub sarnę niż patrol drogówki z balonikami do dmuchania.

★ ★ ★

**C**elina S. bardzo się ucieszyła z wizyty Tadeusza T. Zaprosiła dawno niewidzianego kolegę na kawę i ciasto. Gdy szli do domu jej rodziców, mijali kilkuosobową grupę młodych mężczyzn, którzy popijali wódkę z butelki i głośno rozmawiali. Tuż obok nich, na poboczu drogi stały dwa motocykle. Jeden z motocyklistów zmierzył ostrym spojrzeniem przechodzącą parę. Znał dziewczynę z widzenia, natomiast jej towarzysza

## OBYCZAJE ZA MIEDZĄ



nigdy wcześniej nie spotkał. Zbigniew C. wyjaśniał potem, że zdenerwował go schludnie ubrany gość w okularach. Zdawało mu się, że tamten patrzy na niego prowokacyjnie, może nawet pogardliwie.

– Co się gapisz, fiucie? – warknął.

– Mocny jesteś – odparł Tadeusz T., nie zatrzymując się. Zbigniew C. wyczuł ironię w głosie nieznanego, ale koledzy mu poradzili, żeby dał facetowi spokój. Zamiast szukać zaczepki, lepiej napić się wódki. Wyglądało na to, że dalszego ciągu nie będzie.

Tadeusz T. zabawił u Celiny S. ponad godzinę. Młody inżynier bardzo spodobał się rodzicom dziewczyny. Prosił go, żeby częściej wpadał. Obiecał, że odwiedzi ich przy najbliższej okazji, po czym ruszył w drogę powrotną do domu. Żeby ją skrócić, szedł przez las. W tym samym czasie Zbigniew C. i Mirosław R. szaleli po okolicy na motocyklach, budząc popłoch wśród przechodniów. Jednak znajomych dziewczyn nie zastali i postanowili wracać do domu. Bali się, że ktoś powiadomił milicję o ich wyczynach. Żeby nie natknąć się na patrol, pojechali przez las.

Na leśnej drodze spotkali idącego samotnie Tadeusza T. Doszło do kolejnego starcia. Zbigniew C.

chciał uderzyć „elegancika”, tamten jednak, mimo skromnej postury, okazał się nad podziw sprawny. Zrobił unik, po czym mocno odepchnął 19-latkę. – Zabiję cię! – wybełkotał Zbigniew C., zrywając się i zaciskając pięści. Powstrzymał go Mirosław R., który zauważył, że z motocykla kolegi wycieka benzyna i powiedział, że trzeba coś z tym zrobić.

Nieoczekiwanie pomoc w naprawie zaofiarował Tadeusz T. Wytlumaczył Mirosławowi, że musi rozkręcić gaźnik. Gdy we dwóch szukali sprężynki, która upadła w trawę, Zbigniew C. ponownie zaatakował inżyniera. Zaszedł go od tyłu i uderzył w głowę. Wyprowadzony z równowagi Tadeusz dopadł 19-latkę w kilku susach, przewrócił go i mocno przyduśił do ziemi.

– Widzę, że z tobą nie można po dobroci. Człowiek chce ci pomóc, a ty się tak odwdzięczasz, gadzie? – mówił groźnym tonem, szykując się do zadania mu ciosu.

– Uspokój się facet. Puść go. Zbychu nawalił się jak stodoła i nawet nie wie, co gada – rzucił pojednawczo Mirosław R. – Pogódźcie się i bierzmy się za to cholerstwo, bo łać zaczyna.

Tadeusz szybko ochłonął. Jego przeciwnik też jakby zaczął trzeźwieć. Zawstydzony przeprosił nieznanego, podał mu rękę. We trzech dokończyli naprawę motocykla. – Wiem, że zachowałem się jak świnią – powiedział w pewnym momencie Zbigniew C. – Chciałbym się jakoś zrehabilitować...

– W porządku, było, minęło. Każdemu się zdarzy, że za dużo wypije. Przepraszam chłopaki, ale na mnie już czas – odparł inżynier, szykując się do odejścia.

– Nie, nie, kolego. Ja swój honor mam! Zapraszam do mnie, do Kozłowa Górnego. Na zgodę wypić musowo, no nie?

Tadeusz zawahał się. Dawno powinien być w domu, matka pewnie się już niepokoi. Z drugiej strony, znowu zaczyna padać, a on ma do Alojzówki prawie półtora kilometra. Chłopak narozrabiał, ale teraz chce go przeprosić i odwdzięczyć się. Jak odmówi, tamten gotów się obrazić. A po co mu kolejna sprzeczka?

– W porządku. Dobrą wódeczką w święta nie pogardzę – powiedział. Zajął miejsce na tylnym siedzeniu motocykla Zbigniewa C. Po dwudziestu minutach byli na miejscu. W Kozłowie Górnym nastąpił kolejny akt dramatu.

★ ★ ★

Zbigniew C. nie zastał nikogo w domu. Okazało się, że rodzice są w świątecznej gościnie u sąsiadów, będących jednocześnie ich kuzynami. I do nich udał się wraz z Tadeuszem T. i Mirosławem R. Ten drugi powiedział, że młody inżynier z Alojzówki pomógł Zbyszowskiemu naprawić motocykl. Tadeusza zaproszono do stołu, polano wódką, zachęcano, by częstował się „czym chata bogata”. Zrobił na wszystkich jak najlepsze wraże-

nie. Okazało się, że któryś z biesiadników zna jego ojca.

W tym momencie zachowanie Zbigniewa C. uległo nieoczekiwanej zmianie. Stwierdził, że Tadeusz dwukrotnie go dziś pobił. – Jakby Mirek się nie wtrącił, nie wiem, czym by się to skończyło – mówił rozżalony, licząc, że kolega powie to samo co on.

Ale Mirosław R. poczuł się w obowiązku powiedzieć prawdę. To Zbyszek pierwszy zaczął faceta, gdy tamten szedł z dziewczyną, a potem w lesie zniecka uderzył go w głowę. Tadek nawet go nie tknął, a jedynie przywołał do porządku. A nawet gdyby dał mu z liścia, to Zbychu zasłużył. Ojciec spojrzał surowo na syna.

– Do domu spać – nakazał. – A jak wytrzeźwiesz, to inaczej pogadamy. Nie będziesz mi gnoju wstydu robił przy rodzinie!

Nie śmiał mu się sprzeciwić. Stary miał ciężką rękę, o czym nieraz się już przekonał. Jak niepyszny opuścił mieszkanie kuzynów. Nie poszedł jednak przespać się, lecz wsiadł na motocykl i pojechał na drugi koniec wsi.

Tadeusz T. również chciał wyjść. Powiedział, że czuje się trochę niezręcznie i głupio. Zapewniono go jednak, że nikt nie ma do niego pretensji i poproszono, żeby został jeszcze trochę. Autobus do Alojzówki odjeżdżał dopiero za godzinę. Krzysztof W., syn gospodarzy, miał nocną zmianę na kolei, więc nie pił alkoholu. Obiecał odstawić gościa na przystanek swoim Junakiem.

\*\*\*

**T**rzeba mu sprawić taki łomot, żeby łajza zapamiętała na całe życie – tłumaczył kumplom Zbigniew C. Był błąd, zęby miał zaciśnięte, a oczy ciskały gromy.

Zamierzał temu ważniakowi dać bolesną nauczkę i w tym celu namówił go do przyjazdu do Kozłowa Górnego. Od chwili gdy Tadeusz T. powiedział do niego: „ty gadzie”, dyszał wprost żądzą odwetu. I tylko udawał, że chce się z nim pogodzić. Liczył, że ojciec i kuzyni staną po jego stronie i pomogą dać wycisk inżynierowi. Spotkała go jednak ostra odprawa, a obcy to wszystko widział. Krewki 19-latek nie mógł ścierpieć kolejnego upokorzenia.

Wyproszony z gościny pojechał spotkać się ze szkolnym kolegą Piotrem H. We dwóch udali się do mieszkających po sąsiedzku braci Stanisława i Janusza K., a potem dołączył do nich jeszcze Ryszard P. Zbigniew C. namówił całą czwórkę do pobicia Tadeusza T. i przedstawił plan zaatakowania młodego mężczyzny. O szesnastej pięć z przystanku w Kozłowie Górnym odjeżdżał autobus, którym inżynier najprawdopodobniej będzie wracał do Alojzówki. Napadną na niego, gdy będzie szedł na PKS. Muszą to zrobić w jakimś ustronnym miejscu, żeby nie było świadków. Najlepiej na polnej drodze prowadzącej od wsi do przystanku. Zbigniew C. wysłał na zwiady braci K., żeby upew-

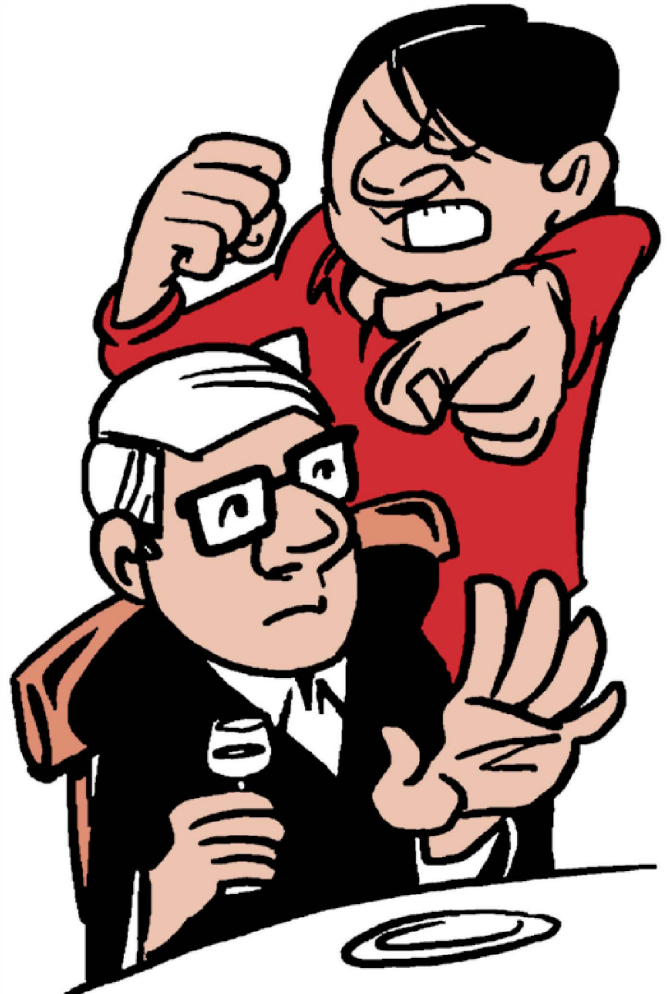
nili się, czy Tadeusz T. rzeczywiście zaraz będzie tędy przechodził.

Sytuacja się nieco skomplikowała, gdy okazało się, że Krzysztof W. zaofiarował się podwieźć gościa na przystanek. Kumple chcieli zrezygnować. Wtedy Zbigniew powiedział, że rozgłosi po wsi, jacy z nich tchórze. Takie oświadczenie zrobiło wrażenie. – A co z Krzyskiem? – zapytał któryś z kolegów.

– A co ma być? To miejscowy chłopak, nie doniesie na swoich. A nawet jakby chciał, to zmusi się go do posłuszeństwa...

Więcej protestów nie było. Czekali na skraju lasu, przylegającego do polnej drogi. Z tego miejsca do przystanku PKS było jakieś 300 metrów. Po paru minutach usłyszeli potężny warkot Junaka. Krzysztof W., omijając kałuże i wyboje, jechał bardzo wolno. Z tyłu siedział Tadeusz T. Wyskoczyli z zarośli i bez trudu zepchnęli pasażera z siodelka. Piątka napastników dopadła go i zaczęła kopać po głowie i brzuchu. Po kilkunastu metrach motocykl wraz z Krzysztofem W. wyrzucił się na ziemię. Przerażony mężczyzna próbował protestować.

– Co robicie? Przestańcie! – krzyczał. Podbiegł do Tadeusza T., chcąc go osłonić przed kopniakami. Bracia K. chwycili go pod ramiona i odciągnęli na bok. Pozostała trójka jeszcze przez chwilę kopała



## OBYCZAJE ZA MIEDZĄ



Tadeusza T. Potem pozwolono mu wstać. Chwiejąc się, poszedł przez las w kierunku asfaltowanej drogi. Krzysztof W. krzyknął, żeby poczekał, to zawiezie go do domu. Na autobus już za późno. Zbigniew C. kazał mu się zamknąć. – I jeszcze gęba na kłódkę o tym, co tu widziałeś! Lubię cię Krzychu, ale nie włącz mi w paradę!

– Znalazłem jego okulary. Muszę mu oddać.

– Oddasz przy okazji, a teraz spadaj!

Krzysztof W. posłusznie wsiadł na motocykl i zawrócił do wsi. Zbigniew C. kazał także ruszać braciom K. oraz Ryszardowi P. – My też zaraz się stąd wynosimy, ale nie możemy jechać kupą, bo ktoś nas „przyfiluje” – powiedział. Tamci przyjęli do wiadomości wyjaśnienie kolegi i odjechali.

\*\*\*

Trzy dni później w Kozłowie Górnym zjawiła się milicja. Rodzice Tadeusza T. zgłosili na komisariacie zaginięcie syna. Poinformowali, że 16 kwietnia, w Poniedziałek Wielkanocny wybrał się w odwiedziny do koleżanki z sąsiedniej wsi. Od Celiny S. śledczy dowiedzieli się, że poszukiwany został zaczepiony przez młodego mężczyznę, który w drugi dzień świąt przyjechał do Nowej Kępówki motocyklem z miejscowości Kozłów Górny. Był z nim kolega. Ten drugi nie zaczepiał Tadeusza.

Wkrótce zatrzymano Zbigniewa C. i czterech jego kolegów, którzy na polnej drodze w Kozłowie Górnym napadli na inżyniera. Trafili do aresztu pod zarzutem udziału w pobiciu mężczyzny. Bracia Stanisław i Janusz K. oraz Ryszard P. przyznali się, że kopali Tadeusza T., ale utrzymywali, że większej krzywdy mu nie wyrządzili, bo „facet o własnych siłach wstał i poszedł sobie”. Byli przekonani, że zdołał wydostać się z Kozłowa Górnego i udało mu się dotrzeć do domu.

Stwierdzili też, że zaraz po pobiciu, zawrócili do wsi, bo byli zmęczeni i zrobiło się późno. W swoich wyjaśnieniach zaznaczyli jednak, że nie wszyscy odjechali. Na polnej drodze pozostali Zbigniew C. i Piotr H.

Dwaj dziesiętnastolatki początkowo utrzymywali, że nie mają pojęcia, co się stało z Tadeuszem T.

Jednakże milicja dowiedziała się, że w poniedziałek wrócili do domu późnym wieczorem. Co robili od chwili rozstania z braćmi K. i Ryszardem P.? Co im zajęło tyle czasu? – Nic takiego nie robiliśmy, chodziliśmy sobie, rozmawialiśmy o meczu Motoru Lublin z Górnikiem Zabrze i o szkole – tłumaczyli mętnie. Dopiero kiedy prokurator powiedział, że w lesie, w pobliżu miejsca, w którym pobili inżyniera, funkcjonariusze milicji znaleźli pasek pochodzący ze spodni Zbigniewa C., młodzi mężczyźni wyjawili koszmarną prawdę...

\*\*\*

Gdy zostali we dwóch, Zbigniew C. namawiał Piotra H., by dogonili Tadeusza, bo jeszcze nie załatwili z nim do końca porachunków. Kolega uważał jednak, że tamten wystarczająco oberwał i nie powinni przeginać. Ale Zbigniew go przekonał. Powiedział, że zauważył u inżyniera elektroniczny zegarek. Za takie cacko dostaliby u pasera z 500 – 600 złotych.

Tym razem zadawali ciosy pięściami. Bili Tadeusza T. po głowie i twarzy. A gdy 27-latek stracił przytomność, Piotr H. odpiął mu z przegubu lewej ręki zegarek i schował go do kieszeni kurtki. – Potem powiedziałem Zbyszowski, że na tym koniec i wracam do domu. Miałem już tego wszystkiego dość.

– A twój kumpel? – indagował prokurator.

– Powiedział, że jeszcze trochę zostanie...

Zbigniew C. stwierdził w swoich zeznaniach, że czekał, aż Piotr się oddalił. Następnie zbliżył się do leżącego na leśnym poszyciu, wciąż nieprzytomnego Tadeusza T. Zdjął ze spodni pasek, zrobił z niego pętlę i zacisnął na szyi inżyniera. Przestał dusić, gdy miał pewność, że tamten już nie żyje. Pasek porzucił kilkadziesiąt metrów dalej.

Następnego dnia pojechał z Piotrem H. do sąsiedniej wsi Wrądy sprzedać skradziony zegarek. Paser zaproponował 100 zł albo litr bimbru. Wybrali to drugie. W nocy, spodziewając się, że wkrótce rozpoczną się poszukiwania Tadeusza T., zdecydował się zakopać zwłoki. Wziął łopatę i pojechał do lasu. Dół, do którego wrzucił ciało, zamaskował gałęziami sosnowymi.

Wskazał to miejsce ekipie milicyjnej. Ojciec Tadeusza T. zidentyfikował zwłoki syna. Autopsja wykazała u 27-letniego mężczyzny liczne i ciężkie obrażenia głowy, twarzy, kończyn dolnych i górnych, powstałe na skutek pobicia. Przyczyną zgonu było jednak uduszenie. Tadeusz T. żył, gdy Zbigniew C. zacisnął mu na szyi pętlę zrobioną z paska do spodni.

– Dlaczego to zrobiłeś? Przecież pokrzywdzony był nieprzytomny i nie mógł się bronić. Tak mocno go pobiliście... Nie wystarczyło ci to? Musiałeś go dusić? – spytał prokurator.

– Nie wiem dlaczego zabiłem. Od pierwszej chwili czułem do niego niechęć, jakąś taką wielką

nienawiść. To uczucie było silniejsze niż wszystko inne – odpowiedział Zbigniew C.

★ ★ ★

**W**czasach PRL-u, gdy dochodziło gdzieś do morderstwa, prasa pisała na ten temat tylko tyle, ile pozwalała władza. Przeważnie krótko, sucho i z odpowiednio dobranym komentarzem. Nie było dramatycznych tytułów, zdjęć na całą stronę ani telewizyjnych relacji z miejsca zbrodni. Jednakże w tym przypadku uznano, że media powinny nagłośnić sprawę.

26 kwietnia 1979 r., trzy dni po zatrzymaniu Zbigniewa C. i czwórki podejrzanych o pobicie inżyniera, w „Kurierze Lubelskim” ukazał się artykuł na temat tej bulwersującej zbrodni, o której mówiło się w całym województwie. Dziennikarze zwrócili uwagę na bardzo młody wiek sprawcy zabójstwa. Poinformowali, że prowadzący sprawę prokurator spotkał się z uczniami Zasadniczej Szkoły Górniczej w Łęcznej (uczęszczali do niej Zbigniew C. i jeden z pozostałych podejrzanych). *Młodzież z tej szkoły – jak napisano – już wcześniej przysparzała problemów.* Wskazywano tło tragedii, którym niewątpliwie było społeczne i rodzicielskie przyzwolenie na picie dużych ilości alkoholu przez bardzo młodych ludzi.

Sledztwo trwało kilkanaście miesięcy. Potem był długi proces, w którym zeznawali mieszkańcy Kozłowa

Górnego i Alojzówki. Rozprawy sądowej nie doczekała matka Tadeusza T. Kobieta nie pogodziła się ze śmiercią syna i popełniła samobójstwo. W 1982 r. Sąd Wojewódzki w Lublinie uznał Zbigniewa C. winnym zabójstwa inżyniera Tadeusza T. i skazał go na 25 lat więzienia. Młody wiek sprawcy i przyznanie się do winy, zarówno na rozprawie jak i w postępowaniu przygotowawczym, potraktowano jako okoliczności łagodzące. Pozostali oskarżeni zostali skazani na kary od 7 do 10 lat pozbawienia wolności.

Prokurator domagał się najwyższego wymiaru kary dla zabójcy i odwołał się od wyroku. Popełniona z pełną premedytacją i zimną krwią zbrodnia – dowodził oskarżyciel – była w istocie budzącą najgorsze konotacje historyczne egzekucją. Jakże bowiem inaczej nazwać bestialskie kopanie i bicie, a następnie uduszenie bezbronnego, nieprzytomnego już człowieka? Przerazająco błahy był powód tego zabójstwa – Tadeusz T. zginął tylko dlatego, że jego osoba i zachowanie nie spodobały się sprawcy...

Sąd drugiej instancji uznał racje oskarżyciela i skazał Zbigniewa C. na karę śmierci. Po kasacji wyroku, zamieniono ją jednak na 25 lat pozbawienia wolności. ■

**Jerzy Blaszyński**

Zmieniono personalia i nazwy miejscowości.

REKLAMA

## AISZY OSTATNIA WALKA. WESPRZYJ!

Są choroby, których nie uleczy ogromna miłość właścicieli.

Brutalna prawda jest taka, że czasem na tym świecie pomogą tylko pieniądze. Opiekunowie Aiszy wydali wszystko co mieli, aby uratować ukochanego psa. Nie wystarczyło.

Dziś Aisza czeka na wyrok. Straciła sierść, traci nadzieję. Potrzeba szerokiej diagnostyki, dziesiątek badań i cierpliwości. I czasu, który ucieka nieubłagalnie

**Potrzeba około 2000 zł.** Jeśli chcesz pomóc możesz dokonać darowizny z tytułem „dla Aiszy” na konto:

**Fundacja Centaurus**

**PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350**

Jeśli chcesz uzyskać szybką informację o wyniku akcji pomocy Aiszy, podaj w tytule przelewu swój nr tel - wyślemy sms lub zadzwonimy!

**Fundacja Centaurus,**  
Borelowskiego 53/2,  
51-678 Wrocław,  
[www.psy.centaurus.org.pl](http://www.psy.centaurus.org.pl);  
518 569 487; 518 569 488.

FUNDACJA  
**CENTAURUS**



Regulamin akcji na [www.centaurus.org.pl/reg/](http://www.centaurus.org.pl/reg/)

Wyślij SMS o treści AISZA pod numer 74567 i pobierz tapetę (koszt 4,92 z VAT).

# KOCHAMY LAS

Dariusz GIZAK



Kierowca pomimo braku świateł i rozbitego przodu pędził z prędkością ponad 100 km na godzinę i w końcu wjechał do rowu. Jego samochód dachował i zatrzymał się leżąc na boku. Kierowcy z wnętrza samochodu pomogli wyjść strażnicy leśni, którzy wezwali też karetkę pogotowia. Mężczyzna miał obrażenia głowy i skarżył się na ból prawej ręki. W szpitalu stwierdzono, że była złamana.



**P**rawdziwym utrapieniem dla leśników są osoby, które pozostawiają śmieci na leśnych parkingach. Chyba każdy z kierowców zatrzymujących się na odpoczynek w tych miejscach natknął się na pozostawione przy koszu worki ze śmieciami. A i tak jest to łagodniejszy wariant, bo często worki wyrzucane są byle gdzie, np. do rowu lub na środku parkingu. Śmieci zalegające przy parkingowych śmietnikach to nie dowód na zbyt rzadkie ich opróżnianie albo ich mały rozmiar. Nic z tych rzeczy. Są opróżniane dostatecznie często i wielkość mają odpowiednią, ale żadna śmietniczka nie pomieści worków przywożonych tam przez niektórych kierowców. W jednym z miejsc parkingowych ustawiono kiedyś kontener, aby zsypać do niego resztki po demontażu betonowego ogrodzenia parkingu. Nim robotnicy zdążyli to zrobić, kontener był już pełny worków ze śmieciami przywiezionymi przez „oszczędnych” właścicieli dacz, czy domków jednorodzinnych.

„Pozbywanie się” worków ze śmieciami odbywa się zarówno pod osłoną nocy, jak i w dzień, bo „przecież i tak nikt tego nie widzi”. Aby ograniczyć to zjawisko, leśnicy umieszczają przy tych parkingach, w widocznym miejscu, tabliczki z napisem: „Teren monitorowany”. W najbardziej zagrożonych miejscach rzeczywiście zakładają kamery pozwalające nawet w nocy na nagranie numerów rejestracyjnych samochodu, którym przyjechał człowiek wyrzucający worki ze śmieciami. Według statystyk, najtrudniejsza sytuacja jest na parkingach śródlęśnych, przy drogach wiodących do dużych miast z miejscowości wypoczynkowych na Mazurach. Po niedzielnych powrotach z weekendowego wypoczynku, parkingi dosłownie „kipią” od pozostawionych śmieci. Po prostu osoby posiadające domki nad jeziorami, zabierają ze sobą śmieci i zamiast wyrzucić je do swojego śmietnika przy domu w mieście, pozbywają się ich na leśnych parkingach. Na takie właśnie osoby strażnicy leśni wspólnie z policjantami zastawiają pułapki.

### „Porządny” człowiek

**P**ewnego wrześnieowego wieczora 2009 roku, dwaj strażnicy leśni w służbowym samochodzie obserwowali jeden z parkingów przy drodze prowadzącej z Mazur do Warszawy. Ustawili swój zielony samochód pomiędzy drzewami w pewnej odległości od parkingu i przez lornetkę z noktowizorem obserwowali parking pogrążający się w wieczornych ciemnościach. Powoli zaczęli wątpić w skuteczność swojej zasadzki, gdy zauważyli samochód Land Rover z warszawskimi numerami rejestracyjnymi wjeżdżający na teren parkingu. Kierowca zaparkował go z dala od jezdni i zgasił światła.

Po chwili wysiadł i uważnie rozejrzawszy się, wyjął z samochodu trzy spore worki, które wyrzucił za barierkę oddzielającą parking od lasu. Następnie wsiadł do auta i nie włączając świateł ruszył w kie-

runku jezdni. Dopiero kiedy na nią wjechał, włączył światła. Czemu to miało służyć? Nie bardzo chciał później wytłumaczyć. Strażnicy po chwili ruszyli za nim, ale nim zdążyli zbliżyć się do niego, zauważyli, że ponownie skręca do lasu. Zjechali więc szybko na pobocze i zgasiwszy światła sięgnęli po noktowizor. Ze zdziwieniem spostrzegli, że mężczyzna skręciwszy w drogę leśną zgasił światła i podjechał do ułożonego tam stosu drewna opałowego pociętego na wałki. Zatrzymał się przy stosie, otworzył tylne drzwiczki i zaczął wkładać kolejno kawałki drewna do samochodu.

Znający doskonale teren strażnicy leśni wiedzieli, że droga leśna, w którą wjechał Land Rover, prowadzi w głąb lasu i łączy się z innymi drogami, ale byli przekonani, że jakiś tam mieszczuch z Warszawy nie ma pojęcia o tym. Wjechali w drogę, zapalając pulsujące światła i zatrzymali swoją Toyotę, blokując przejazd do trasy i oświetlając światłami drewno i samochód tego mężczyzny. Wysiedli obaj pewni, że zaskoczony złodziej nie będzie uciekać. Jednak kiedy zaczęli iść w jego kierunku, mężczyzna wskoczył do swojego samochodu i ruszył drogą w głąb lasu. Wrócili więc do auta i ruszyli za nim.

Land Rover jechał leśną drogą przed nimi i kiedy pojawiała się jakaś boczna droga, to skręcał po prostu w nią i potem w kolejną, i w następną. Zdawali sobie sprawę, że nie zna drogi, ale jedzie tak po prostu, aby uciekać. Jechali więc za nim, bo szerokość dróg leśnych nie pozwalała na bezpieczne wyprzedzenie go i zajechanie mu drogi. Jadąc przez las, przez chwilę kierowca ściganego samochodu próbował zmylić pogoń, wyłączając zupełnie światła i próbując jechać w ten sposób. Jednak bezgwiazdna wrześnieowa noc nie pozwalała na to, więc po chwili zapalił światła najwyraźniej przestraszony, że może się o coś rozbić.

Najprawdopodobniej zupełnie przypadkowo, kłucząc po leśnych duktach w pewnej chwili kierowca Land Rovera dostrzegł światła samochodów jadących główną trasą i skręcił w drogę prowadzącą w tym kierunku. Chcąc zniknąć ścigającym go strażnikom, już w pobliżu wjazdu na drogę zgasił ponownie światła i dodał gazu. Rozległ się głośny trzask, uciekający samochód zwolnił na chwilę, a potem ruszył z dużą prędkością dalej. Znający teren strażnicy wiedzieli, że ten trzask wywołało uderzenie w metalowy szlaban zamykający wjazd do lasu.

Ścigali dalej ten samochód i przejeżdżając obok rozbitego szlabanu widzieli, że oba słupki podtrzymujące go zostały wyłamane. Nie zauważyli wtedy jeszcze, że samochód po uderzeniu nie ma przednich świateł, które zostały rozbite w uderzeniu o szlaban. To zobaczyli dopiero później, doganiając Land Rovera na jezdni. Kierowca pomimo braku świateł i rozbitego przodu pędził z prędkością ponad 100 km na godzinę i w końcu wjechał do rowu. Jego samochód dachował i zatrzymał się leżąc na boku. Kierowcy z wnętrza samochodu pomogli wyjść



strażnicy leśni, którzy wezwali też karetkę pogotowia. Mężczyzna miał obrażenia głowy i skarżył się na ból prawej ręki. W szpitalu stwierdzono, że była złamana.

Okazało się, że kierowca to 53-letni Władysław B., człowiek z wyższym wykształceniem, na co dzień zatrudniony w jednym z urzędów samorządowych, jako kierownik wydziału. W chwili wypadku był trzeźwy. Przesłuchiwany potem przez policjantów zeznał, że wstydził się tego, że został przyłapany na kradzieży drewna, które chciał potem spalić w kominku i dlatego uciekał, a potem to już tak jako samo poszło. Leśnicy skrupulatnie obliczyli, że wartość drewna, które próbował ukraść, wynosiła 57 zł. Władysław B. został skazany przez Sąd Rejonowy w U. za cztery wykroczenia, czyli za zaśmiecanie, kradzież drewna, spowodowanie kolizji drogowej oraz zniszczenie urządzenia drogowego, czyli szlabanu. Nałożono na niego karę 3 tys. zł. Strażnicy leśni zgodnie z prawdą zeznali w sądzie, że niestety nie udało im się zbliżyć do auta Władysława B. na tyle, aby dać mu znak do zatrzymania, więc nie mógł odpowiadać za niezatrzymanie się do kontroli.

Nie odpowiadał też za nieuprawniony wjazd na tereny leśne, bo jak skrupulatnie udowodnił, przy dróżce, w którą wjechał, nie było znaku informującego o zakazie wjazdu, a szlaban był otwarty i odłożony na bok przez robotników leśnych. Ale i bez tego poniósł dotkliwe straty. Jego dwuletni Land Rover po uderzeniu w szlaban i wywróceniu się do rowu, został poważnie uszkodzony. Ubezpieczyciel ze względu na okoliczności rozbicia auta odmówił wypłaty odszkodowania i nic nie pomogły odwołania od tej decyzji. Władysław B., oprócz wstydu i grzywny sądowej, stracił także kilkadziesiąt tysięcy zł.

## Wysypisko

O tym, co się stało w jednym z kompleksów leśnych przy drodze prowadzącej z centralnej Polski nad mazurskie jeziora, nadleśnictwo w P. w pierwszych dniach maja 2010 roku powiadomili robotnicy leśni. Kiedy na miejsce przybył nadleśniczy i strażnicy leśni, załamali ręce ze zgrozy. Wśród drzew w odległości 500 metrów od głównej trasy piętrzyła się ogromna góra śmieci. Był to zarówno gruz, jak i resztki eternitu zawierającego groźny azbest, ale także zwykłe śmieci komunalne, jak papier, szmaty oraz podejrzane plastikowe pojemniki z jakimiś płynami. Leśnicy różne rzeczy w lesie widzieli, ale to przerastało ich wyobrażenia. Ta góra śmieci musiała zostać przywieziona w to miejsce na potężnym samochodzie ciężarowym, bo tylko na takim by się zmieściła. Świadczyły o tym także głębokie ślady opon odcisnięte w miękkim gruncie. Na miejsce wezwano policjantów, a ślady opon ostrożnie nakryto folią, aby uchronić je przed zniszczeniem, gdyż właśnie zaczął padać rzęsy deszcz. Gdyby leśnicy na miejscu pojawili się o kilka godzin później, ze śladów tych niewiele by zostało.

Policjanci przeprowadzili dokładne oględziny tego miejsca, wykonując zarówno dokumentację fotograficzną, jak i odlewy śladów kół. Nie byli zbyt zachwyceni tym, że na miejscu pojawił się zaciekawiony i wrażliwy na dobro przyrody ich przełożony, komendant powiatowy policji w P. Przewidywali, co się za chwilę stanie i nie pomylili się. Otrzymali polecenie dokładnego przeszukania tej przemy śmieci w celu ustalenia skąd pochodzą. Padający deszcz nie był dla komendanta argumentem przeciwko, ale argumentem za takim działaniem, bo „jeśli dłużej popada, dowody rozmiękną i mogą ulec zniszczeniu”. Argument o obecności szkodliwego eternitu też nic nie dał, „przecież w deszcz nie pyli, a wtedy jest najgroźniejszy”. Na szczęście leśnicy wczuwając się w sytuację, dostarczyli narzędzia, obuwie i odzież ochronną z maseczkami przeciwpyłowymi włącznie oraz sami energicznie włączyli się do działania.

Już po upływie niespełna pół godziny okazało się, że komendant (obecny na miejscu, ale w suchym wnętrzu służbowego auta) miał rację. Znalezione w śmieciach dwa segregatory ze starymi fakturami pochodzące z jednej z firm handlowych, która swoją siedzibę miała w odległym o niecałe 100 km mieście O. Policjanci oglądający to znalezisko byli trochę sceptyczni, co do jego wartości. Nie przypuszczano, aby ktoś był na tyle głupi, aby wywieźć do lasu śmieci zawierające aż tak wyraźną wizytówkę, ale należało to sprawdzić.

Do miejscowości O., jeszcze tego samego dnia pojechali policjanci. Już po przybyciu na miejsce, czyli pod adres firmy widniejący na fakturach, byli pewni, że trafili pod właściwy adres. Na placu stały dwa samochody ciężarowe i przeprowadzano rozbiorę dwóch wiat magazynowych, aby zrobić

miejsce pod budowę nowych hal. Właściciel firmy 37-letni Bogdan D. pytany, czy wywoził ostatnio śmiecie z terenu firmy, początkowo był mocno spłoszony i nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. W końcu przyznał, że rankiem poprzedniego dnia został tutaj załadowany różnymi odpadami samochód ciężarowy, które podobno wywieziono na wysypisko. Niestety Bogdan D. biletów z wysypiska nie miał, bo miał je kierowca, a tego w chwili wizyty policjantów w firmie nie było. Zostawili więc dla niego wezwanie do stawienia się w komendzie w P. i pobrali materiał porównawczy z opon z obu stojących na placu samochodów (choć już wtedy po typie bieżnika poznali, które auto mogło być w lesie). Właściciel twierdził, że tylko te dwa samochody obsługują rozbiórkę wiat i przygotowania do budowy nowych magazynów. Policjanci wykonali jeszcze dokumentację fotograficzną rozbiórki hal, na co właściciel firmy słabo zaprotestował.

★ ★ ★

**D**opiero po tygodniu, po ponagleniu przez policjantów z O., w komendzie policji w P. stawił się 47-letni Karol K. – kierowca feralnej firmy. Początkowo próbował przekonać policjantów, że wjechał do lasu, bo rozbolał go żołądek i kiedy zawracał, zakopał się i musiał zrzucić ładunek, żeby wyjechać. Jego zeznanie zostało zapisane w protokole, bo było przecież przyznaniem się do winy, ale jeśli kierowca myślał, że na tym się skończy, to bardzo się pomylił. Policjanci poinformowali go, że będzie musiał zapłacić 15 tys. zł, bo na tyle opiewa rachunek wystawiony przez firmę, która usunęła już i zutylizowała te odpady. Wtedy kierowca przyznał, że śmiecie w lesie kazał mu zrzucić jego pracodawca. Dał mu 50 zł i kazał pozbyć się śmieci w jakiś sposób, bo na wysypisku za taki ładunek musieliby zapłacić bardzo dużą kwotę. Policjanci wyjaśnili mu, że to go nie usprawiedliwia, ale zaprotokolowali jego oświadczenie i po zakończeniu przesłuchania wystali wezwanie Bogdanowi D., czyli jego pracodawcy.

Kiedy w ostatnich dniach maja w Komendzie Powiatowej policji w P. pojawił się Bogdan D., wprawił policjantów w spore zdziwienie. Przyjechał nie tylko ze swoim pracownikiem Karolem K., ale także z prawnikiem Juliuszem C.-Z. Z jakiego powodu niewinny człowiek przyjeżdża na przesłuchanie z wynajętym prawnikiem? Aby to lepiej wyjaśnić, postanowiono panów rozdzielić. Bogdana D. razem z jego prawnikiem umieszczono w jednym pomieszczeniu, a jego pracownika Karola K. przesłuchiwało ponownie w innym, gdyż oświadczył, że chce uzupełnić, a właściwie to po prostu zmienić swoje zeznania. Niestety ten zabieg z umieszczeniem w innych pokojach niewiele dał, bo kierowca zmienił swoje zeznanie, twierdząc, że z „własnej inicjatywy” wywoził odpady do lasu, a poprzednio mówił inaczej z obawy przed karą. Jego szef mówił dokładnie to samo, a po sposobie składania zeznań od razu

można było zorientować się, że obu panów wcześniej dokładnie poinstruował prawnik.

Przesłuchania zakończono deklaracją Karola K. o chęci dobrowolnego poddania się karze. I sąd rzeczywiście przychylił się do tego, karząc kierowcę niewielką grzywną oraz zobowiązując go do poniesienia kosztów naprawienia szkody, czyli zapłacenia owych 15 tys. zł. Policjantów i leśników nurtowało jednak pytanie, dlaczego kierowca zmienił zeznania, decydując się na poniesienie sporych kosztów. Przypuszczali, że i tak zapłaci jego szef, ale dopiero po jakimś czasie dowiedzieli się, że z rozbiórki hal tej firmy wywiezionych zostało sześć załadowanych po brzegi samochodów ciężarowych, a nie jeden. Hale były pełne różnych nagromadzonych przez lata rupieci i stąd taki ładunek.

Właściciel firmy najwyraźniej przestraszył się, że policjanci znajdą miejsca wyrzucenia tych śmieci i stąd wzięła się jego chęć jak najszybszego zakończenia sprawy. Niestety, pomimo że nie miał dokumentów z wysypiska, policjanci nie byli w stanie





udowodnić mu, że aż tyle śmieci gdzieś wywiózł, ani nie odnaleźli miejsc, do których one trafiły. Leśnicy w tej sprawie sprawdzili dokładnie swój teren i obdzwonili sąsiednie nadleśnictwa, ale też niczego nie ustalili. Pozostało im tylko mieć nadzieję, że zapłacona kwota 15 tys. zł oduczyla przedsiębiorcę podobnych praktyk.

### Pomyłka

**K**opalnie żwiru, pomimo że czasami przerażają ogromem powstałych przy tej okazji wyrobisk, są niestety niezbędnym elementem rozwoju kraju, bo przecież z czegoś trzeba budować. Paradoksalnie, czasem to, co z wierzchu wygląda na bezwartościowy nieużytek z rachitycznymi krzewami porastającymi górki piachu, jest prawdziwą kopalnią pieniędzy. To znaczy kopalnią żwiru szybko zamieniającego się w pieniądze.

W czerwcu 2008 roku patrol Straży Leśnej patrolujący okolice O. zauważył samochód ciężarowy wyjeżdżający drogą leśną do drogi głównej. Ciężarówka była do pełna załadowana żwirem, co

zdziwiło strażników, gdyż nie pamiętali, aby w tym miejscu działała żwirownia. Wjechali więc w tę drogę i po przejechaniu około 1 km zobaczyli spore wyrobisko i pracującą w nim ładowarkę. Wielkość wyrobiska sugerowała, że działa ono już od dłuższego czasu. Oprócz operatora ładowarki i spychacza zastali też Eryka G., 32-letniego przedsiębiorcę z T., który pokazał im dokumenty zezwalające na wydobycie żwiru.

Dokumenty były jak najbardziej prawidłowe, kopalnia oznakowana, więc po krótkiej rozmowie strażnicy leśni odjechali. Jeden z nich miał jednak wątpliwości, czy wszystko odbywa się prawidłowo, bo jego zdaniem Erykowi G. „coś za bardzo trzęsły się ręce”. Strażnik przypuszczał, że być może żwirownia działała zbyt blisko sąsiednich działek i stąd zdenerwowanie właściciela. Własność gruntu na tych terenach często była powodem kłótni, ponieważ mapa działek gruntowych zarówno leśnych, jak i rolnych bardzo przypomina łowicki pasiak, choć do centralnej Polski jest stąd daleko.

Wcale nierzadkim zjawiskiem są tutaj działki o szerokości kilkunastu metrów i długości kilometra, powstałe na skutek kolejnych podziałów kawałka gruntu na wielu spadkobierców. Strażnik pomyślał, że nie powinien się tym przejmować, bo to problem właścicieli gruntu, którzy sąsiadują ze żwirownią, a oni już na pewno tego przypilnują. Nie przypuszczał, aby żwirownia graniczyła z gruntami państwowymi zarządzanymi przez tutejsze nadleśnictwo, bo wtedy z całą pewnością jego przełożeni wiedzieliby o tym i przykazałoby straży leśnej, aby „miała baczenie” na tę okolicę. Postanowił jednak zapytać o to swojego szefa.

W tych dniach zastępca nadleśniczego zajmujący się sprawami własności gruntów i pamiętający wyrywkowo „gdzie i co jest” był na urlopie. Wrócił pod koniec czerwca i dopiero wówczas doszło do rozmowy strażnika z bardzo zdziwionym przełożonym. Zastępca nadleśniczego nie wiedział nic o żadnej nowej żwirowni, która miałaby rozpocząć działanie na tym terenie. Wyjaśnił strażnikowi, że nawet gdyby kopanie żwiru miało rozpocząć się na prywatnych gruntach, to i tak wywózka z reguły odbywałaby się drogą wiodącą przez obszary administrowane przez nadleśnictwo, co wymagało odrębnych uzgodnień.



Zastępca nadleśniczego razem ze strażnikami pojechał w miejsce, o którym mówili. Zastali tam jedynie spore wyrobisko, w którym już nikt nie pobierał żwiru. Nawet brzegi wyrobiska zostały pospychane, aby były bardziej płaskie. Zastępca był pewny, że grunt jest państwowy i na dokładkę objęty ochroną w ramach tzw. użytku ekologicznego. Wrócili więc do nadleśnictwa. Sprawdzenia w starostwie powiatowym wykazały, że owszem, przedsiębiorca Eryk G. posiada koncesję na pozyskiwanie żwiru oraz kopalnię i wszelkie pozwolenia na jego wydobycie, ale nie w tym miejscu, tylko kilka kilometrów dalej. Urzędnicy byli przekonani, że złoża w tamtym miejscu jest już od jakiegoś czasu eksploatowane, a znajduje się na całkowicie prywatnych gruntach i takimi jest otoczone.

\*\*\*

**N**adleśnictwo złożyło więc zawiadomienie o przestępstwie. Podpierając się zeznaniami strażników leśnych, policjanci szybko ustalili sprawcę. Przesłuchiwany w tej sprawie Eryk G. zeznał, że żwir w tamtym miejscu pozyskiwał... omyłkowo. Po prostu źle odczytał mapę i, pomimo że korzystał też z urządzenia GPS, wyszło mu, że w tym miejscu powinien zrobić odkrywkę. Z pełną niefrasobliwością i z wyjątkowym tupetem przedsiębiorca zeznał, że natychmiast, kiedy zrozumiał, iż popełnił błąd, zaprzestał wydobycia i przeniósł się we właściwe miejsce. No, niestety trochę samochodów ze żwirem wyjechało z tego miejsca, ale ile ich było, tego nie pamięta i nie jest w stanie ustalić. Eryk G. traktował sprawę lekko, uważając, że nic wielkiego się nie stało, bo w tym miejscu przed laty wydobywano także żwir i pozostały po tym nawet górkę i dolki, które on wyrównał, więc teren teraz wygląda lepiej niż poprzednio. Policjanci wraz z prokuraturą przygotowali akt oskarżenia i przestali go do sądu w listopadzie 2008 roku. Sąd jednak uniewinnił przedsiębiorcę, uznając, że popełnił błąd i zaprzestał działania natychmiast, kiedy to spostrzegł. Dopiero kiedy do odwołania prokuratury dołączyli się miejscowi ekolodzy, zapadł w drugiej instancji wyrok w tej sprawie. Przedsiębiorca nie otrzymał żadnej kary, ale sąd nakazał mu pokrycie kosztów odtworzenia stanu wyrobiska sprzed jego ingerencji. Nie chodziło tu o klasyczną rekultywację, czyli przywrócenie gruntu do użytkowania, ale właśnie odtworzenie poprzedniego stanu. Okazało się bowiem, że „stare górkę i dolki” w tym miejscu stanowiły zarejestrowany użytek ekologiczny będący miejscem rozrodu płazów i licznych chronionych owadów. Sąd nie przyjął argumentów przedsiębiorcy, który twierdził, że takie miejsce powinno być jakoś oznakowane, bo okazało się, że prawo tego nie wymaga. Przedsiębiorca omal nie zasłabł na sali sądowej, kiedy biegły przedstawił wstępną wycenę przywrócenia stanu poprzedniego, oceniając kwotę na nie mniejszą niż 550 tysięcy zł. Wyrok uprawomocnił się pomimo kolejnego odwołania.



Specjalistyczna firma rozpoczęła wieloletnie odtwarzanie „pomyłkowo usuniętego użytku ekologicznego”, a Erykiem G. musiał zająć się komornik, gdyż przedsiębiorca nie spieszył się z wpłaceniem orzeczonej przez sąd kwoty. Komornik zajął i zlicytował część maszyn, a Eryk G. z „niefrasobliwego przedsiębiorcy” stał się bankrutem i zarejestrował się nawet jako bezrobotny. Obecnie jego firma nie ma już koncesji na wydobywanie czegokolwiek, a do kwoty orzeczonej przez sąd, doszły jeszcze kolejne nałożone przez urząd skarbowy powiadomiony o sprawie przez policjantów. Urząd zainteresował się tym, w jaki sposób i komu Eryk G. sprzedał poza ewidencją żwir „omyłkowo” pozyskany. Ponieważ nie miał na to żadnych dokumentów, przesłuchano jego pracowników i ustalono ponad 20 odbiorców. Kwoty naliczone przez „skarbowkę” najprawdopodobniej przewyższyły już nawet koszty rekultywacji, a nieszczęśliwi odbiorcy taniego żwiru przekonali się, jak drogi może być taki zakup.

Leśnicy twierdzą, że zbankrutowany przedsiębiorca czuje się pokrzywdzony przez leśników, ekologów, sąd i urząd skarbowy. Przecież on przez pomyłkę wykopał tylko trochę żwiru, a pracownicy opowiadają o dużych ilościach, bo nie miał z czego im zapłacić za pracę i teraz mszczą się za to, że zalega im z płacami. Natomiast jego pracownicy uważają, że wszystko było zaplanowane i że zrobił to z rozmysłem i pełną świadomością, uważając, że wykpi się stwierdzeniem o pomyłce. Jako dowód na to podają pośpiech, w jakim wywożono stamtąd żwir, czasami nawet w nocy, aby zdążyć wywieźć jak najwięcej, nim ktoś się zorientuje. ■

**Dariusz Gizak**

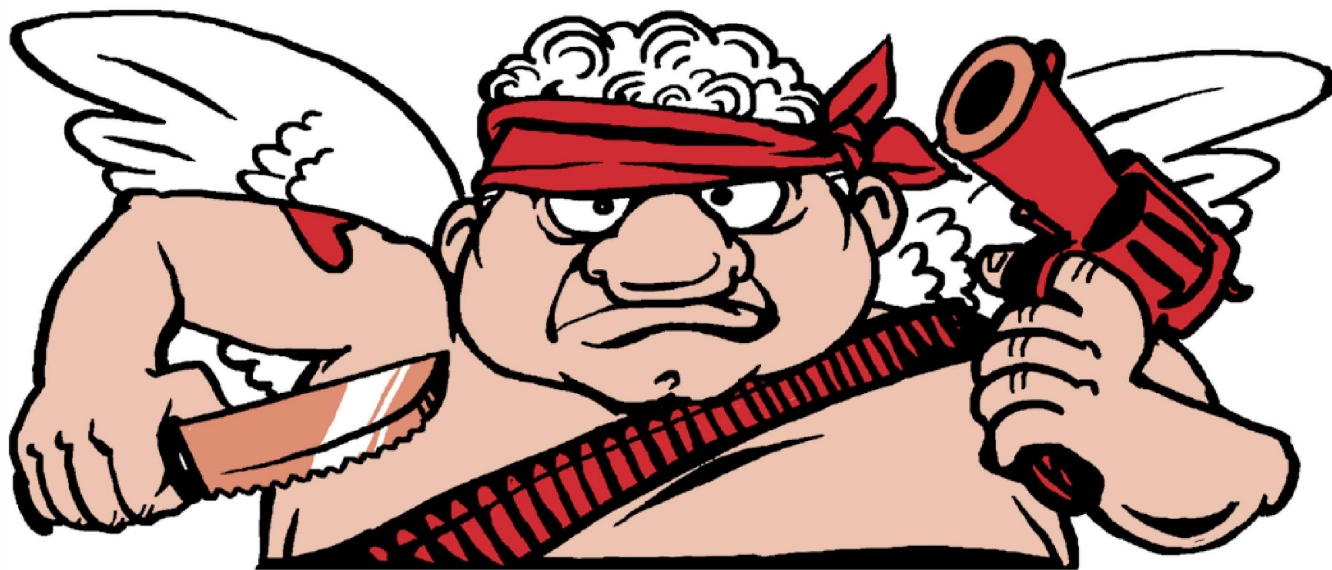
Niektóre okoliczności zdarzeń i personalia osób zostały zmienione.

# NIEBEZPIECZNA OBSESJA

Jarosław SZKLAREK

Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Ona jednak nie podzielała jego uczuć. Przez blisko cztery lata ciągłego prześladowania, doprowadził ją niemal na skraj wytrzymałości psychicznej. Kiedy

w końcu sądownie uzyskała tymczasowy zakaz zbliżania się do niej, postanowił się zemścić, w wyniku czego siedmiu niewinnych ludzi poniosło śmierć, a cztery inne, w tym ona, zostały ranne.



**R**ichard Wade Farley był spokojnym, dobrze wychowanym chłopcem, który nie wymagał od swoich rodziców poświęcania mu zbyt wiele uwagi. W liceum interesował się matematyką oraz chemią i zawsze przykładał się do nauki. Wystrzegał się także wszelkiego rodzaju używek. W wolnych chwilach lubił grać w tenisa stołowego i szachy.

Po ukończeniu szkoły zaczął uczęszczać do Santa Rosa Community College, ale po upływie zaledwie jednego roku porzucił dalszą naukę na tej uczelni i zaciągnął się do służby w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych, w której szeregach przebywał przez kolejnych dziesięć lat. Po odejściu z wojska w 1977 roku, Farley kupił dom w San Jose i znalazł pracę jako technik oprogramowania w ESL Incorporated, firmie z branży obronnej, która znajdowała się w Sunnyvale w Kalifornii. ESL było głównym dostawcą systemów rozpoznania taktycznego dla amerykańskiej armii. Większość zadań wykonywanych tam przez Farleya miało zdaniem przełożonych „kluczowe znaczenie dla obronności kraju”.

## Stalking

**W**kwietniu 1984 roku Richard Farley poznał 22-letnią Laurę Black, która od niespełna roku pracowała w ESL Incorporated. Młoda kobieta była ładna, inteligentna i wysportowa-

na. Mężczyzna zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Od tego momentu zaczął zostawiać na jej biurku różne prezenty i wielokrotnie próbował umówić się z nią na randkę. Dziewczyna za każdym razem grzecznie odmawiała, jednak Farley nie dawał za wygraną. Pisał do niej listy, średnio dwa tygodniowo. Sledził ją i nieustannie krążył autem w pobliżu jej domu. Zapisał się nawet na zajęcia aerobiku, w których brała udział. Kiedy jego liczne telefony stały się nie do wytrzymania, Laura zmieniła numer telefonu. Ciągłe prześladowanie sprawiło, że musiała również trzykrotnie zmieniać miejsce zamieszkania, ale Farley używając podstępnie zawsze potrafił po jakimś czasie ustalić jej aktualny adres. Niektórzy współpracownicy z ESL Incorporated próbowali rozmawiać z nim o nękanii Laury Black, ale mężczyzna reagował wtedy złością i groził im użyciem przemocy. W październiku 1985 roku prześladowana kobieta zwróciła się po raz pierwszy o pomoc do działu personalnego firmy.

Kierownictwo ESL Incorporated udzieliło mu reprymendy za nękanie kobiety i skierowało go na sesje terapeutyczne do psychiatry. Nie przyniosło to jednak pozytywnych rezultatów, ponieważ Farley w dalszym ciągu nachodził Laurę Black. W połowie lutego 1986 roku doszło do konfrontacji pomiędzy Richardem i jedną z menedżerek działu personalnego firmy, podczas której mężczyzna powiedział jej, że ESL Incorporated nie ma prawa kontrolować

jego relacji z innymi pracownikami. Wówczas menedżerka ostrzegła go, że molestowanie seksualne jest nielegalne i jeżeli nie zostawi w spokoju Laury Black, to wtedy najprawdopodobniej zostanie zwolniony z pracy. Farley odparł jej na to, że jeśli dostanie wypowiedzenie, natychmiast straci ochotę do życia i będzie zmuszony chwycić za broń, aby zabrać ze sobą na tamten świat wielu innych znienawidzonych przez siebie ludzi. Gdy prześladowanie Black nie ustało, Farley został w końcu zwolniony w maju 1986 roku po dziewięciu latach pracy dla ESL Incorporated.

Przez następnych osiemnaście miesięcy Farley kontynuował śledzenie Black, a co więcej, w bezpośrednich kontaktach z nią zaczął jej nawet grozić. Dużo czasu spędzał też na parkingu przed ESL Incorporated. Popadł również w tarapaty finansowe. Stracił dom i samochód, a także miał do zapłacenia ponad 20 tysięcy dolarów zaległych podatków. W styczniu 1988 roku Laura znalazła w swoim aucie kolejny list od Richarda oraz dołączony do niego podobiony klucz do jej mieszkania. Przerazona i w pełni świadoma swojej bezbronności postanowiła poszukać pomocy u adwokata. 8 lutego uzyskała w sądzie rodzinnym tymczasowy zakaz zbliżania się do niej przez Farleya. Zgodnie z jego treścią mężczyzna nie mógł kontaktować się z nią w żaden sposób oraz musiał trzymać się z dala od niej na odległość co najmniej trzystu metrów. Termin rozprawy wyznaczono na dzień 17 lutego, podczas której sędzia miał zdecydować, czy zakaz zbliżania się do kobiety wprowadzić na stałe.

## Zemsta

**N**azajutrz po otrzymaniu tymczasowego zakazu zbliżania się do Black, Farley zaczął planować zemstę. W tym celu kupił kilka sztuk broni palnej oraz mnóstwo amunicji. Wysłał też paczkę adwokatowi Laury, która zawierała sfabrykowane zdjęcia przedstawiające ich oboje podczas rzekomych randek na dowód, że łączy ich oboje od dawna sekretny związek, ale pełnomocnik kobiety nie potraktował poważnie tych fotografii. We wtorek, 16 lutego 1988 roku, Farley zaparkował swojego kampera na parkingu przed ESL Incorporated. Później powiedział policji, że czekał na Black, aż wyjdzie z pracy, aby przekonać ją do odwołania zakazu zbliżania się do niej, a gdyby odmówiła, miał zamiar zastrzelić się na jej oczach. Około trzeciej po południu rozpoczął przygotowania do ataku. Załadował samopowtarzalną strzelbę Benneli Riot kaliber 12, karabin z celownikiem optycznym Ruger M-77, strzelbę Mossberg 500, rewolwer Smith&Wesson 357 Magnum, pistolet typu Browning oraz pistolet Smith&Wesson kaliber 9 mm. Dodatkowo przewiesił przez ramiona naładowane bandolier, założył czarne skórzane rękawiczki i wcisnął zatyczki do uszu.

Uzbrojony po zęby wysiadł z kampera i ruszył w kierunku wejścia głównego do ESL Incorporated. Na parkingu zastrzelił Larry'ego Kane'a i otwierał

ogień również do kilku innych osób postronnych, które w panice próbowały przed nim uciec. Następnie wszedł do budynku firmy, po tym jak jednym strzałem rozbił szybę w drzwiach frontowych. Będąc w środku, strzelał do pracowników i sprzętu biurowego, kierując się jednocześnie na drugie piętro, gdzie znajdowało się biuro Laury Black. Młoda kobieta próbowała chronić się przed nim, zamykając od środka drzwi do swojego pomieszczenia, jednak Farley wyważył je, po czym oddał do niej dwa strzały. Jeden pocisk chybił, natomiast drugi trafił ją w ramię, w wyniku czego Laura straciła przytomność. Myśląc, że kobieta nie żyje, wyszedł z jej biura i zaczął krążyć po całym budynku, zaglądając do każdego pokoju i strzelając do pracowników, którzy ukrywali się przed nim skuleni pod swoimi biurkami.

Kiedy na miejsce strzelaniny przybył oddział specjalny SWAT, Farleyowi udało się uniknąć namierzenia przez strzelców wyborowych dzięki ciągłemu przemieszczaniu się z miejsca na miejsce w budynku ESL Incorporated. Podczas trwającego pięć godzin obłędzenia policyjny negocjator dwukrotnie nawiązał telefoniczną rozmowę z zamachowcem w sprawie uwolnienia zakładników. W trakcie tych rozmów Farley ani razu nie wyraził choćby cienia skruchy. Ostatecznie głód sprawił, że zakończył się ten dramat. W pewnym momencie Farley poczuł się głodny i zgodził się poddać w zamian za kanapkę i napój bezalkoholowy. Ogółem zabił siedmiu ludzi, pięciu mężczyzn i dwie kobiety, oraz ranił cztery inne osoby (w tym Laurę Black). Wystrzelił łącznie 98 pocisków.

## Najwyższy wymiar kary

**R**ichard Wade Farley został oskarżony o popełnienie siedmiu morderstw pierwszego stopnia. Podczas procesu jego adwokat utrzymywał, że oskarżony nigdy wcześniej nie był agresywnym człowiekiem i jedynie obsesja na punkcie Laury Black doprowadziła do tego, że stracił zdrowy rozsądek.

21 października 1991 roku ława przysięgłych uznała oskarżonego winnym wszystkich stawianych mu zarzutów. 17 stycznia 1992 roku sędzia Joseph Biafore Jr. skazał Richarda Farleya na karę śmierci. Zgodnie z prawem stanu Kalifornia każdemu skazanemu na najwyższy wymiar kary przysługuje kilka automatycznych odwołań do sądów różnych instancji, których rozpatrywanie ciągnie się w większości przypadków długimi latami. 2 lipca 2009 roku Sąd Najwyższy Kalifornii podtrzymał wyrok śmierci nałożony na Farleya. Aktualnie Richard Wade Farley przebywa w bloku śmierci więzienia stanowego San Quentin położonego nad Zatoką San Francisco, gdzie oczekuje na rozpatrzenie jego ostatniego wniosku przez sąd apelacyjny. Dla zabicia czasu grywa na spacerniaku ze współwięźniami w szachy. ■

**Jarosław Szklarek**

# AMERYKAŃSKI

Andrzej POLL

# POTWÓR

W latach 1972-1983 na terenie USA grasował morderca i gwałcień, który pozbawił życia co najmniej 11 osób. W 1983 roku został aresztowany w Teksasie w związku ze zniknięciem dwu kobiet. Kiedy zaczął składać zeznania na temat liczby swoich zbrodni (ponad 600!), policja stanęła przed niezwykłą zagadką: albo miała do czynie-

nia z notorycznym zabójcą, albo notorycznym kłamcą i mitomanem. Gdyby znalazły się dowody potwierdzające taką liczbę jego zbrodni, Henry Lee Lucas musiałby zostać umieszczony na pierwszym miejscu światowej listy seryjnych morderców. Prasa nadała mu przydomek „zeznaniowy morderca” (*The Confession Killer*).





**J**ako motto do historii życia Henry'ego Lee Lucasa należałoby zamieścić słowa, które wypowiedział w jednym z wywiadów: „Zabicie kogoś jest jak spacerowanie na dworze. Jeśli chciałem ofiary, wychodziłem i znajdowałem ją. (...) Nienawidziłem przez całe moje życie. Nienawidziłem wszystkich”.

Jeśli można sobie wyobrazić „wzorcową” rodzinę patologiczną, to była nią chyba rodzina Lucasów z amerykańskiego miasteczka Blacksburg (stan Wirginia), w której przyszły morderca się urodził. Przyszedł na świat 23 sierpnia 1936 roku jako najmłodsze z dziewięciorga dzieci Violi Dixon Lucas, pół Indianki z plemienia Chippewa. Siedmioro z nich, które pochodziły z jej pierwszego małżeństwa oraz z jej przygodnych związków, było już dorosłych i mieszkało samodzielnie. Henry mieszkał z rodzicami i starszym bratem w drewnianej chacie, bez bieżącej wody i prądu. Rodzina borykała się z głodem i chłodem. Ojciec, Anderson Lucas, uzależniony od alkoholu był pracownik kolei, nosił przydomek „Beznogi Lucas”, ponieważ obie kończyny stracił w wypadku w pracy. Nogi zastąpiono mu protezami. Aby jakoś załatać rodzinny budżet, sprzedawał potem kredki, a także zajmował się razem z żoną nielegalnym pędzeniem „wody ogniwej”. Część swojego produktu sprzedawali, a część spożywali sami. Kiedy Henry był kilkuletnim dzieckiem, matka ubierała go i czesała jak dziewczynkę, czego nienawidził. Od wczesnego dzieciństwa musiał ciężko pracować na chleb: zbierał w pobliskim lesie drewno na opał, nosił z odległej o pół mili studni wodę i sprzątał dom. Pomagał też ojcu w pędzeniu alkoholu. To za jego sprawą, już jako 10-latek, nauczył się pić.

Matka była również uzależniona od alkoholu i dorabiała sobie prostytutką. Nie dbała o dom ani nie gotowała. To zmuszało dzieci do zdobywania pożywienia „na własną rękę”. Wybierali resztki ze śmietników lub kradli wiktuały, gdzie tylko mogli. Viola Lucas była kobietą o cholerycznym charakterze i sadystycznych skłonnościach, a przy wychowywaniu dzieci nie żałowała kija. Za najdrobniejsze nieposłuszeństwo karała je biciem. Kiedy Henry miał osiem lat, tak pobiła go po głowie trzonkiem od miotły, że zapadł w śpiączkę. Zachodziła obawa, że chłopiec umrze i matka będzie miała kłopoty z policją. Za namową Berniego odstawiła go do szpitala, a lekarzom powiedziała, że syn spadł z drabiny i zranił się. Henry przeleżał nieprzytomny całą dobę. W obawie przed gniewem matki, nie wspominał po przebudzeniu ani słowem o tym, jaka była prawdziwa przyczyna jego stanu.

Następstwem tego pobicia było to, że później słyszał „głosy w swojej głowie”. Matka nieraz zmuszała go i starszego syna, aby patrzyli, jak uprawia seks ze swoim kochankiem, „wujkiem Bernie”, wyjątkowo zdegenerowanym typem oraz z innymi mężczyznami. W swoich późniejszych zeznaniach wspominał, że kiedy za pierwszym razem zobaczył

kopulującą matkę, ogarnął go wstęt i uciekł z izby. Matka zbiła go za to i od tamtej pory musiał przyglądać się jej tózkowym harcom.

Jednym z najbardziej traumatycznych przeżyć w dzieciństwie był fakt zastrzelenia przez matkę na jego oczach muła, podarowanego mu przez jednego z wujów. Kiedy był w pierwszej klasie szkoły podstawowej, spuściła mu lanie za to, że przyjął podarowanego mu przez nauczyciela pluszowego misia („Nie potrzeba nam jałmużny!”). W wieku 10 lat, w czasie zabawy z bratem, został zraniony nożem w oko. Matka zbyt późno poszła z nim do lekarza i chłopiec stracił oko. Zastąpiono mu je szklanym, co było dodatkowym powodem do wyśmiewania się z niego przez kolegów.

Dzieci, które go znały, uważały, że był ponury i nietowarzyski. Jakby tych negatywnych przeżyć było mało, starszy przyrodni brat Henry'ego i wspomniany „wujek Bernie” nauczyli go dręczyć zwierzęta, zabijając je, a potem kopulować z ich zwłokami. Swoją skłonność do nekrofilii Henry praktykował w dorosłym życiu na ludziach; odbywał stosunki z ciałami kobiet, które mordował.

W grudniu 1949 roku zakończył się pierwszy etap w życiu Henry'ego. Jego ojciec, Anderson Lucas, wyszedłszy z domu po pijanemu, został zaskoczony przez śnieżycę, nabawił się zapalenia płuc i wkrótce zmarł. Henry wspominał go, jako dobrego człowieka (w odróżnieniu od matki), który nigdy go nie uderzył, a czasami dawał mu pieniądze na kino. Śmierć ojca musiała być dla niego dużym przeżyciem, gdyż niedługo potem porzucił szkołę i uciekł z domu, w którym nie zaznał nic prócz krzywd i upokorzenia. Realizując swoje marzenie o „wolności”, włóczył się po całej Virginii, spał gdzie popadło i utrzymywał się z drobnych kradzieży i włamań. Nowo rozbudzony młodzieńczy popęd seksualny zaspokajał ze zwierzętami. W tym okresie miał też pierwsze kontakty homoseksualne.

## Pierwsze morderstwo

**J**eśli dać wiarę wyznaniom Henry'ego Lucasa, swoje pierwsze morderstwo popełnił w 1951 roku. Ofiarą miała być pewna nastolatka, która oparła się jego zapędom erotycznym. Rozeźlony jej brakiem uległości, pobił ją do nieprzytomności, następnie zgwałcił, a w końcu udusił. Według niektórych źródeł policyjnych mogła to być 17-letnia Laura Burnley, która zaginęła w marcu 1951 roku. Czy był on faktycznie sprawcą tej zbrodni, czy też ją sobie tylko „przypisał”, jak potem setki innych, nie udało się ustalić. Potem odwołał swoje przyznanie się do tego zabójstwa.

Rok później Lucas, wraz z dwoma przyrodnimi braćmi, został aresztowany za włamanie. Został skazany, ale ze względu na małość wieku, roczny wyrok odsiedział w domu poprawczym w Beaumont, w stanie Teksas. Zakład ten nie „poprawił” go jednak ani na jotę. Próbował kilkakrotnie z niego uciec. W czasie pobytu w poprawczaku zaprzyjaźnił się

z czarnoskórym nastolatkiem, z którym łączyły go prawdopodobnie stosunki seksualne. Według świadectwa personelu zakładu, osobowość Lucasa charakteryzowała dwoistość; potrafił być miły i przyjazny, a za chwilę jego zachowanie stawało się agresywne czy wręcz niebezpieczne.

Po wyjściu na wolność pracował przez niecały rok jako pomocnik na farmie. Jednak jego skłonności przestępcze znów dały o sobie znać. Latem 1954 roku dokonał serii włamań i kradzieży, za które został skazany na 4 lata więzienia. W ramach odbywania kary, wraz z innymi więźniami, pracował jako robotnik drogowy. W maju 1956 roku wykorzystał okazję i zbiegł z miejsca przymusowej pracy, kradnąc po drodze samochód. Po dokonaniu tego czynu zaszył się w stanie Ohio. Tam ukrywał się przez dwa miesiące, po czym został aresztowany i skazany za kradzież auta na 13 miesięcy pozbawienia wolności w Chillicothe, w Ohio. W czasie pobytu w zakładzie karnym nawiązał korespondencyjny kontakt z młodą kobietą Stellą, z którą wiązał poważne plany. Więzienie opuścił we wrześniu 1959 roku. Rozpoczął się kolejny etap jego burzliwego życia.

### Matkobójstwo

**P**od koniec 1959 roku Lucas wyjechał do swojej przyrodniej siostry Opal, zamieszkałej w mieście Tecumseh, w stanie Michigan. Rozumieli się na tyle dobrze, że Henry zwierzył jej się, iż zamierza ożenić się ze Stellą, którą niedawno poznał. Siostra uznała jego decyzję za rozsądną. Powiedziała, że małżeństwo pozwoli mu się ustakować i zerwać z przestępczą przeszłością. Na podobną reakcję liczył ze strony matki, ale grubo się pomylił. Kiedy Viola Lucas przyjechała w odwiedziny na Boże Narodzenie i dowiedziała się o jego matrymonialnym zamiarze, zażądała zerwania zaręczyn i powrotu syna do rodzinnego Blacksburga, gdzie miał się nią opiekować.

Temat jego małżeństwa był przedmiotem ostrego sporu między nim i matką. Konflikt ten miał tragiczny finał 11 stycznia 1960 roku. W czasie kłótni matka zdzieliła syna miotłą w głowę. To doprowadziło go do wściekłości, chwycił nóż kuchenny i zadał jej dwa ciosy w szyję. Jak później wspominał, kiedy się opamiętał, stwierdził, że matka leży nieruchomo na podłodze i krwawi, a on stoi nad nią z nożem w ręce. Przeraził się tego co zrobił i uciekł. Kiedy jego siostra wróciła do domu, ku swojemu przerażeniu zastała matkę leżącą na podłodze w kałuży krwi. Jak się okazało, żyła jeszcze. Córka zadzwoniła po karetkę, która zabrała kobietę do szpitala. Na wszelką pomoc było jednak za późno i niewiasta zmarła. Sekcja zwłok wykazała jednak, że przyczyną śmierci nie były ciosy od noża, lecz zawał serca.

Henry Lucas został niedługo potem aresztowany i postawiony przed sądem pod zarzutem zabójstwa. W czasie procesu oskarżony tłumaczył, że działał w obronie własnej, ale sąd nie uwzględnił tego argumentu. Uznał go winnym morderstwa

drugiego stopnia i skazał na karę 20 lat więzienia. Karę odbywał w więzieniu stanowym na południu stanu Michigan. Pobyt za kratkami wspominał jako niekończący się koszmar. Skarżył się na dręczące go „głosy w głowie”, a między innymi „słyszał” głos nieżyjącej matki, który żądał od niego, aby się zabił za to, co jej zrobił. Nie mogąc sobie z tym dać rady, targnął się na swoje życie. Za pierwszym razem podciął sobie żyły, za drugim zranił się w brzuch. Życie uratowali mu strażnicy więzienni, przybywając na czas.

Po tych próbach samobójczych Lucasa umieszczono w klinice psychiatrycznej dla przestępców, gdzie spędził prawie 5 lat. Jednak terapia farmakologiczna i elektrowstrząsowa, jakiej go poddano, niewiele pomogła. Jego agresywność i mordercze skłonności jeszcze się wzmożyły. Swoją wiedzę, co do metod przestępczych i sposobów unikania kary, znacznie wzbogacił dzięki „naukom” współwięźniów, wśród których wielu było niebezpiecznymi recydywistami. Również praca w archiwum więziennym, gdzie studiował akta spraw skazanych przestępców (m.in. przyczyny ich wpadek i procedury śledcze), wiele go nauczyła. Jedną z najważniejszych zasad, jakie zapamiętał i później konsekwentnie stosował, była: Po dokonaniu przestępstwa, jak najszybciej trzeba opuścić granice stanu, w którym się go dokonało.

W roku 1970, po odsiedzeniu połowy (10 lat) wymierzonej kary, dzięki pozytywnej opinii biegłego psychiatry, został warunkowo wypuszczony na wolność. Dodatkowym powodem jego zwolnienia było przepelnienie więzienia. Jak później wyznał, w czasie pobytu za kratami zaszła w nim jakaś zmiana i zrodziło się niezłomne postanowienie, że będzie zabijać ludzi. Tuż przed opuszczeniem zakładu karnego, zapowiedział strażnikom, że „zostawi im prezent”. Jak później zeznał, tamtego dnia zamordował kobietę, a jej zwłoki zamierzał podrzucić pod mury więzienia. Faktycznie znaleziono w pobliżu uduszoną kobietę, ale z braku dowodów tą zbrodnią nie obciążono Lucasa.

### Włóczęga

**Z**nalazłszy się na wolności, Lucas rozpoczął pełną przygodę włóczęgę po południowych stanach. Żył z prostych, dorywczych prac, spał gdzie popadło, dużo pił. W 1971 roku popadł ponownie w konflikt z prawem, próbując uprowadzić z przystanku autobusowego pewną nastolatkę. Sąd potraktował ten czyn jako pogwałcenie prawa o zwolnieniu warunkowym i skazał go na trzy i pół roku więzienia.

Po wyjściu na wolność, jesienią 1974 roku, Henry Lucas udał się do miejscowości Port Deposit (stan Maryland), gdzie mieszkała inna jego przyrodnia siostra, Almeda Kiser oraz jej córka Aomia Pierce wraz z mężem. Wkrótce Pierce'owie przeprowadzili się do stanu Pensylwania, Henry podążył za nimi i przez jakiś czas u nich mieszkał. Dzięki



nim poznał niejaką Betty Crawford, zaprzyjaźnioną z nimi wdowę z trójką dzieci. Spodobali się sobie do tego stopnia, że w grudniu 1975 roku wzięli ślub. Przez jakiś czas nowożeńcy mieszkali z Pierce'ami, ale z powodu konfliktów, jakie wybuchały między obu parami, wrócili do Port Deposit, gdzie zamieszkał w przyczepie kempingowej.

Żyli skromnie z zapomogi pieniężnej, jaką otrzymywała Crawford oraz z dorywczych prac Henry'ego. W czerwcu 1976 roku postanowili przeprowadzić się do Teksasu, gdzie mieszkała matka Betty, z nadzieją, że Lucas znajdzie tam stałą pracę i mieszkanie, i zaczną wreszcie normalnie żyć. Plany te jednak się nie spełniły, więc udali się do stanu Illinois z podobnym zamiarem. Ale również i tam spotkało ich rozczarowanie, wobec czego krótko potem powrócili do Port Deposit. Niedostatek i brak troski o rodzinę ze strony Lucasa były przyczyną tego, że między małżonkami dochodziło do kłótni i aktów agresji. Na dodatek Betty zarzuciła mężowi seksualne molestowanie córek. Rzeczywiście coś takiego miało miejsce, ale Henry wyparł się wszystkiego. Oskarżenie to nie miało dla niego żadnych następstw prawnych, ale wkrótce potem oświadczył żonie, że ma dosyć życia z nią i zamierza ją opuścić. Jak zapowiedział, tak zrobił i na początku lipca 1976 roku udał się „w siną dal”. Szlak jego wędrówki prowadził na południe Stanów. Pierwotnie zamierzał jechać na Florydę, lecz po drodze zatrzymał się u siostry Opal w Michigan.

### W duecie z Toolem

**P**rzez ponad rok Lucas zmieniał kilkakrotnie miejsca pobytu, mając się różnych prac. Mieszkał krótko w stanach: Luizjana, Wirginia i Delaware. W mieście Wilmington w stanie Delaware pozostał dłużej, a to dzięki pewnemu krewnemu,

który miał tam sklep z dywanami i dał Henry'emu pracę. W międzyczasie odwiedził kilkakrotnie Port Deposit, z którym czuł się w jakiś sposób związany. W styczniu 1978 roku los rzucił go do miasta Hinton w stanie Zachodnia Wirginia, gdzie inny jego krewny również posiadał sklep i zatrudnił go jako pomocnika. Jednak stała praca i pobyt w jednym miejscu nie były jego sposobem na życie. Dwa miesiące później opuścił Hinton i ponownie wrócił do Port Deposit. Tym razem miał pobyc tu nieco dłużej.

Powodem była możliwość zamieszkania u siostry Almedy i praca na złomowisku szwagra. Przez kilka miesięcy Lucas prowadził „osiadły” tryb życia, aż do momentu, kiedy siostra oskarżyła go o seksualne molestowanie jej wnuczki. Wyparł się tego, podobnie jak w przypadku z córkami Betty Crawford. Powoli miał jednak dosyć rutyny codziennych zajęć i zaczął mu świtać w głowie pewien plan. Któregoś dnia, pod pretekstem sprowadzenia jakiegoś wraaku samochodowego z niedalekiej miejscowości, wziął służbową ciężarówkę i zniknął. Kiedy przez dwa dni nie dawał znaku życia, szwagier zgłosił na policję kradzież samochodu. Pojazd został odnaleziony niedługo potem koło miasta Jacksonville w stanie Floryda, kompletnie „zajeżdżony”.

Przybywszy na Florydę Lucas był bez grosza przy duszy i nie znał nikogo, kto mógłby mu dać pracę i lokum. Dowiedział się jednak o pewnej organizacji kościelnej w Jacksonville, która oferowała bezdomnym pożywienie i nocleg. W czasie stania w kolejce po posiłek, zagadnął go jakiś mężczyzna, z którym wdał się w rozmowę. Był to młodszy od niego o kilka lat mieszkaniec Jacksonville, nazwiskiem Ottis Toole, morderca, podpalacz i biseksualny dewiant. (Jak się później okazało, miał już wtedy na swoim koncie cztery niewykryte morderstwa i kilka podpaleń.) Dowiedziawszy się o trudnej sytuacji, w jakiej znajdował się Henry, Toole

zaproponował mu zamieszkanie u niego. W rzeczywistości chodziło mu głównie o seks. W ten sposób obaj mężczyźni zostali przyjaciółmi, współnikami i... partnerami seksualnymi. Partnerstwo to miało później zaowocować szeregiem wspólnych napadów i morderstw.

Toole mieszkał wspólnie z matką i jej drugim mężem, oraz z dużo starszą od siebie, świeżo poślubioną żoną, oraz dwojgiem nieletnich dzieci jego siostry Drucilli Carr, Frankiem i Friedą Powell. Frieda, zwana „Becky”, wówczas 12-letnia, wpadła w oko Lucasowi. Później uczynił dziewczynkę swoją kochanką i towarzyszką włóczęgi.

Przybycie nowego lokatora rodzina Toole'a przyjęła bez większych sprzeciwów. Nieraz zdarzało się, że przyprowadzał on do domu obcych mężczyzn w celach seksualnych. Toole'owi sprawiało podobno przyjemność zmuszanie żony i nieletniej Friedy do uprawiania seksu z jego męskimi gośćmi. Żona Toole'a, nie mogąc znieść jego wynaturzonego stylu życia, wkrótce go zostawiła i wniosła pozew o rozwód.

W latach 1979-1981 Lucas i Toole pracowali w pewnej firmie dekarskiej, co na pozór czyniło z nich „normalnych” obywateli. W rzeczywistości jednak prowadzili podwójne życie, przypominające historię dr Jekylla i Mr Hyde'a, dwoistego bohatera znanej noweli R.L. Stevensona. Siedząc już w areszcie, Lucas zeznał, że w tym okresie popełnił setki morderstw, w tym 108 wspólnie z Toole'em. Chwalił się, że „edukował” Ottisa w „sztuce zabijania” i unikania złapania. Jego błędem było, wyjaśnił, że swoje zbrodnie popełniał ciągle według tego samego schematu, a chodziło o to, żeby popełniać je na różne sposoby, aby nie zostać wykrytym.

★ ★ ★

Obaj mężczyźni spędzali wtedy swój wolny czas na picu piwa i krążeniu samochodem po autostradach różnych stanów w poszukiwaniu rozrywek. Główną ich „rozrywką” były napady z bronią w rękę na małe sklepy, w których terroryzowali personel, po czym kradli gotówkę, żywność i piwo. Jeśli natrafiali na opór pracowników, zabijali ich i uciekali do innego stanu. Ich ofiarami byli autostopowicze, włóczędzy lub osoby, którym popsuły się na drodze samochody, przy czym Lucas „specjalizował” się w kobietach, a Toole w mężczyznach. Jedna z żeńskich ofiar została znaleziona porzucona w polu, niedaleko od drogi. Jej zwłoki były całkiem nagie i nosiły ślady ponad trzydziestu ran, zadanych nożem, a obydwie piersi były odcięte. Lucas wyznał później, że kiedyś przejechał przez dwa stany, mając na tylnym siedzeniu odciętą głowę zabitej przez siebie kobiety. Po prostu o niej „zapomniał”. Zabójczy duet podobno popełniał nawet po kilka morderstw dziennie.

W tym też okresie Toole wprowadził rzekomo Lucasa do satanistycznej sekty pod nazwą „Ręka śmierci” (*Hand of Death*). Sekta miała praktykować

m.in. rytuał zabijania dzieci i składania ich w ofierze szatanowi, a także kanibalizm. Według późniejszych zeznań Lucasa, „szkolenia” odbywały się na bagiennych terenach Florydy w pobliżu Miami. Uczono tam różnych metod zabijania (w tym na zlecenie), podpalania domów i porwania dzieci. Szkoleni tam członkowie sekty mieli bez zmużenia oka spełniać polecenia przywódcy sekty, czyli stać się czymś w rodzaju automatów do zabijania. Na ile było to prawdą, nie udało się stwierdzić. Kiedy policja później zbadała przy pomocy łodzi i śmigłowców tereny, gdzie miała znajdować się siedziba sekty, niczego nie znalazła. Uznano tę historię za wymysł Lucasa, który pragnął dodać sobie przez to demonicznych rysów. Fakt, iż nie znaleziono dowodów istnienia sekty, Lucas wytłumaczył teorią spiskową: należeli do niej, jakoby wysokiej rangi policjanci i politycy, a kiedy dowiedzieli się o planowanej akcji, zatarli wszelkie ślady.

Lucas i jego nowa „rodzina zastępcza” tak się z sobą zżyli, że kiedy w następnym roku matka Toole'a kupiła dom, pozwoliła mu u siebie zamieszkać. Przez krótki czas Henry pracował w pewnej fabryce, której pracownikiem był też Ottis, ale szybko to zajęcie mu się znudziło i zajął się złomowaniem samochodów. Nastąpił znów tak rzadki w jego życiu okres stabilizacji i niewchodzenia w konflikt z prawem. Trwało to do maja 1981 roku, kiedy to zmarła matka Toole'a. Po jej śmierci on i Henry postanowili wraz z Frankiem i Becky odbyć podróż do Kalifornii. Zapakowali do ciężarówki potrzebny sprzęt i ruszyli w drogę.

Jednak po przybyciu do Arizony, stanu graniczącego z Kalifornią, dzieci miały dość tej męczącej podróży i zapragnęły powrotu do domu. Ponadto kończyły się pieniądze, a nie było widoków na to, żeby je zarobić. Zawrócili więc i ruszyli w powrotną drogę do Jacksonville. Mieli do przebycia – bagatela! – kilka tysięcy mil. Po wielu perypetiach towarzystwo wróciło do domu autostopem, bez ciężarówki, która uprzednio została sprzedana. Istnieją podejrzenia, że w trakcie tej podróży Lucas i Toole, zostawiwszy dzieci w samochodzie, wyruszyli na swoje „polowania” i zabijali przypadkowo napotkanych ludzi. Jaka była liczba ich ofiar, nie udało się ustalić.

Kilka miesięcy później w Lucasie znów odezwał się „podróżnik”. Ponieważ Toole trafił w tym czasie do szpitala z powodu jakiejś choroby, Henry spakował bagaż, zabrał dzieci i wraz z nimi wyruszył starą furgonetką w drogę na północ. Jego podróż skończyła się jednak w całkiem nieoczekiwany sposób. Kiedy przekroczył granicę stanu Maryland, dosięgła go niespodziewanie ręka sprawiedliwości: został aresztowany za kradzież samochodu szwagra. Sąd skazał go na kilka miesięcy pozbawienia wolności, a dzieci zostały odesłane do ich biologicznej matki Drucilli Carr.

Lucas opuścił więzienie na początku października 1981 roku i powrócił do Jacksonville. Dwa miesiące później Drucilla Carr, która miała problemy psychiczne, popełniła samobójstwo i dzieci,

Frank i Becky, zostały umieszczone w sierocińcu w mieście Bartow na Florydzie. Miesiąc później dziewczynka uciekła z tego zakładu i przyjechała do Jacksonville, do domu Ottisa Toole'a. Ponieważ policja podejrzewała, że Lucas namówił ją do ucieczki i przewiózł do Jacksonville, wydała nakaz zatrzymania obojga.

Henry wytłumaczył Becky, że mogą mieć kłopoty i że jedynym sposobem, aby ich uniknąć, jest wyjazd do innego stanu. Dziewczyna dała się przekonać. Zapakowali więc do starej ciężarówki niewielki bagaż i ruszyli w drogę na zachód, w kierunku Kalifornii. Toole tym razem został w domu, ponieważ, jak powiedział, miał do załatwienia „swoje sprawy”. Wkrótce potem został złapany na Florydzie po tym, jak podłożył ogień pod pewien dom. W trakcie rozprawy sądowej przyznał się do 40 podpaleń i został skazany na 20 lat pozbawienia wolności. Potem doszły procesy o sześć morderstw, w wyniku których zamieniono mu wyrok na sześciokrotne dożywocie. Zmarł w swojej celi w więzieniu na Florydzie na marskość wątroby w 1996 roku.

### Przystanek Hemet

**N**a początku lata 1982 roku, kiedy Lucas i Becky, głodni i wynędzniali, podróżowali autostopem po Kalifornii, los zetknął ich z człowiekiem nazwiskiem Jack Smart. Był to antykwariusz i biznesmen z miasteczka Hemet, który ulitował się nad nimi i zabrał ze sobą. „Autostopowicze” powiedzieli mu, że są bezdomnym małżeństwem i szukają pracy. Smart obiecał im pomoc i zaferował nocleg. Kiedy przywiózł parę do domu i przedstawił żonie, ta odniosła się dość nieufnie do „gości”, ale zgodziła się, aby u nich przenocowali. Wkrótce państwo Smart przekonali się, że mogą mieć z nich wyrękę; Lucas wykonywał prace przy naprawie ich domu, Becky pomagała w gospodarstwie domowym. Kiedy rozniosła się po okolicy wieść, że przybysz jest prawdziwą „złotą rączką”, coraz więcej ludzi korzystało z jego usług.

Kilka tygodni później państwo Smart zaproponowali Lucasowi i Becky zajęcie się niedołączną matką pani Smart, 82-letnią Kate Rich, zamieszkałą w niedalekiej miejscowości Ringgold. Para chętnie przyjęła propozycję i Smartowie zawieźli oboje do jej domu. Praca polegała na opiekowaniu się starszą, dbaniu o dom i robieniu zakupów w zamian za wikt i mieszkanie. „Babcia Rich”, jak nazywano starszą panią, od razu polubiła parę, a szczególnie Becky. Henry'emu zaufała na tyle, że dawała mu pieniądze lub czeka na opłacanie zakupów, nie wyciszając go specjalnie z wydatków. Lucas, wykorzystując łatwowierność kobiety, zaczął wkrótce wydawać sporą część powierzonych mu pieniędzy na piwo i papierosy. Miarka się przebrała, kiedy pewnego dnia chciał zapłacić czekiem, na którym podrobił podpis pani Rich. Sprzedawca, który znał jej podpis, jako znanej mu od lat klientki, zorientował się w oszustwie i powiadomił o tym państwa Smart.



Małżonkowie przyjechali bez zwłoki do domu pani Rich, aby wyjaśnić tę sprawę. Kiedy zobaczyli panujący w domu nieporządek i brud (w kuchni stopy niepozmywanych naczyń, od tygodni niesprzątane pokoje, walające się wszędzie puszkę po piwie), wpadli w złość i kazali parze natychmiast się wynosić. Przed rozstaniem wręczyli Becky i Henry'emu drobną sumę pieniędzy na autobus. Para znów znalazła się na ulicy. Becky wyraziła chęć powrotu na Florydę, Lucas był temu przeciwny i pocieszał ją, że na pewno się „gdzieś zaczepią”. Otrzymane od Smartów pieniądze postanowili zaoszczędzić i ruszyli w drogę wypróbowanym i darmowym sposobem – autostopem.

### „Dom modlitwy”

**M**ężczyzna, który ich zabrał swoim samochodem, przedstawił się jako Ruben Moore. Był pastorem i przywódcą wspólnoty religijnej o nazwie „Dom modlitwy” (*House of Prayer*), w miejscowości Stoneburg w Teksasie. Oprócz tego prowadził niewielką firmę budowlaną. Kiedy się dowiedział, że autostopowicze są bez środków do życia, zaproponował im przyłączenie się do wspólnoty. W ich sytuacji nic lepszego nie mogło się przytrafić. Siedzibą wspólnoty była dawna farma kurczą, składająca się z kilku zaniedbanych budynków. Ustalono, że Lucas i Becky otrzymają lokum i wyżywienie, w zamian za to Henry będzie pracował w jego firmie, a Becky będzie pomagać w prowadzeniu gospodarstwa. Oprócz tego oboje mieli uczestniczyć w organizowaniu nabożeństw w „Domu modlitwy”. W ich życiu znów nastąpił krótki okres „normalizacji”, a dla Becky Powell miało to być coś o wiele więcej – czas przemiany duchowej. Życie we wspólnocie obudziło w niej miłość do Boga



i skruczę za prowadzony dotychczas styl życia. Odnowiła też kontakty z Kate Rich, z którą teraz częściej przebywała niż z Henrym. Trapiły ją wyrzuty sumienia, że uciekła z sierocińca i przekroczyła granicę stanu, popełniając przestępstwo. Coraz częściej mówiła o chęci powrotu do Jacksonville i proponowała, aby oboje dobrowolnie zgłosili się na policję.

### Mordy na Becky Powell i Kate Rich

**N**arzekania Becky na sposób dotychczasowego życia z Henrym, jej nagła pobożność i tęsknota za rodziną, były coraz częściej przedmiotem kłótni między nimi. Według wersji Lucasa, uległ w końcu namowom swojej towarzyski i zgodził się na powrót do Jacksonville. Ruszyli w drogę autostopem, ale daleko nie ujechali. Pod wieczór 26 sierpnia 1982 roku dotarli do miasta

Denton w Teksasie, a ponieważ nie stać ich było na motel, postanowili spędzić noc pod gołym niebem, w pobliżu międzystanowej autostrady. Henry zakupił sześciopak piwa, a Becky przygotowała coś do jedzenia i prowizoryczne posłanie. W trakcie picia piwa rozmowa znów zeszyła na temat ich powrotu na Florydę. Lucas, coraz bardziej pijany, próbował ją odwieść od tego zamiaru, ona obstawała przy swoim. Z obu stron zaczęły padać zarzuty, doszło do krzyków i wyzwisk. W pewnym momencie Becky uderzyła go w twarz. Lucasowi przypomniało to zachowanie jego znenawidzonej matki, chwycił za nóż i zadał dziewczynie cios w klatkę piersiową: „Zanim zdałem sobie sprawę, już było po niej”.

W swoich późniejszych zeznaniach Lucas twierdził, że do momentu ich wspólnego wyjazdu z Jacksonville nie miał z Becky stosunków seksualnych. Jego „ojcowskie uczucia” górowały rzekomo nad pożądaniem. Opowiadał, że w czasie podróży to ona (wówczas 15-letnia) domagała się seksu, a kiedy się od tego wykręcał, stawała się zła i ponura. Trudno powiedzieć, ile było w tym prawdy. Faktem jest, że po zabiciu Becky, Lucas rozebrał jej ciało i odbył ze zwłokami stosunek płciowy. Kiedy ochłonął, postanowił rozkawałkować ciało Becky. Jak później zeznał, poczuł wtedy prawdziwy żal, bo była kimś, kogo „naprawdę kochał”. Następnie zapakował części zwłok do poszew od poduszek z zamiarem ukrycia ich. Zmienił jednak zdanie, wyjął je i rozrzucił na pobliskim polu. Wyrzucił też jej portmonetkę i walizkę. Po usunięciu z siebie śladów krwi, wrócił autostopem do „Domu modlitwy”. Z udanym żalem powiedział pastorowi i ludziom ze wspólnoty, że Becky postanowiła wrócić na Florydę i zabrała się z jakimś kierowcą ciężarówki. Dwa tygodnie później, trawiony czymś w rodzaju wyrzutów sumienia, wrócił na miejsce, gdzie porzucił poćwiartowane zwłoki Becky, a znalazłszy jeszcze niektóre z nich, pogrzebał w pobliżu kępy drzew.

Zniknięcie Becky, która była lubiana, nie uszło uwadze tak małej społeczności, jaką było Stoneburg. Zaczęto snuć domysły, pojawiły się plotki. Najbardziej zniknięciem Becky poruszona była „babcia Rich”. Trzy tygodnie po jej śmierci, 16 września 1982 roku, skontaktowała się telefonicznie z Lucasem i zaczęła dopytywać się o dziewczynę. Powiedział jej, że jeśli chce, mogą się spotkać i porozmawiać o Becky. Staruszka wyraziła zgodę. Lucas poinformował Moore'a, że zabiera jego ciężarówkę, aby odwiedzić panią Rich, a potem przywieźć ją na wieczorne nabożeństwo.

Kilka godzin później zapukał do drzwi jej domu w Ringgold i zaproponował, że mogą wspólnie wyruszyć na poszukiwanie Becky, ale najpierw wstąpią do baru na piwo. Starsza pani chętnie na to przystała. Lucas zeznał później, że był już nieźle pijany, kiedy przyszła mu myśl, by zamordować Rich. W czasie jazdy, kiedy rozmawiali o Becky i staruszka wyraziła niedowierzanie, co do jej nagłego wyjazdu bez pożegnania, Lucasa ogarnęła złość. Skręcił w jakąś boczną, opustoszałą drogę

i zatrzymał samochód. Następnie wyjął nóż rzeźniczy, który miał ukryty pod siedzeniem i dźgnął kobietę w lewą część klatki piersiowej. Dokonawszy tego, wyszedł z samochodu i otworzył drzwi od strony pasażera. Kobieta wypadła na zewnątrz martwa. Potem ukrył zwłoki i ubranie w rurze kanalizacyjnej w pobliżu drogi, po czym wrócił do „Domu modlitwy”. Pastorowi powiedział, że „babcia Rich” źle się poczuła i odwiózł ją do domu.

Dwa dni potem wyszło na jaw zniknięcie Kate Rich i miejscowy szeryf Bill Conway rozpoczął śledztwo w tej sprawie. Ruben Moore potwierdził, że człowiekiem, z którym ostatnio widziano Rich, był Henry Lucas, wobec tego wezwano go na przesłuchanie. Podejrzany wyłgał się sprytnie, że nie ma nic wspólnego z jej zniknięciem, wobec czego został zwolniony. Czując jednak, że grunt pali mu się pod nogami, wziął następnego dnia samochód Moore'a i nic nikomu nie mówiąc, ruszył do Kalifornii. W tym czasie szeryf sprawdził kartoteki policyjne Lucasa w innych stanach. Wynikało z nich, że ma on na koncie morderstwa, gwałty, rabunki i złamanie prawa o zwolnieniu warunkowym. Conway poinformował o swoim odkryciu kolegów policjantów z sąsiednich stanów oraz Straż Graniczną i wydał nakaz aresztowania podejrzanego. Kiedy po miesiącu Lucas ponownie zjawił się w Stoneburg i dowiedział się, że jest poszukiwany przez szeryfa w sprawie zniknięcia Kate Rich, postanowił usunąć ślady swojej zbrodni. Wieczorem zabrał ze sobą kilka worków na śmieci i pojechał do miejsca, gdzie ukrył zwłoki kobiety. Wyciągnął częściowo już rozłożone ciało, poćwiartował je, zapakował do worków i przywiózł do „Domu modlitwy”. Następnie przez całą noc palił je w piecu, podsycając ogień drewnianymi klepkami.

Rankiem wziął samochód pastora i zniknął. Przez następne miesiące włóczył się po stanach: Nowy Meksyk, Oklahoma, Missouri, Indiana i Illinois. Kiedy auto Moore'a zepsuło się, porzucił je i dalej podróżował autostopem. W trakcie swojej wędrówki dokonał kilku napadów rabunkowych na przydrożne sklepy i zamordował co najmniej jedną kobietę. W końcu, bez grosza przy duszy i zdesperowany, zadzwonił do pastora z pytaniem, czy może wrócić do „Domu modlitwy”. Moore wiedząc, że Lucas jest podejrzany o zamordowanie Becky i Kate Rich i że szuka go policja, wyraził zgodę. W rzeczywistości była to pułapka. Natychmiast powiadomił szeryfa Conwaya o planowanym przybyciu podejrzanego. Kiedy Lucas zjawił się w „Domu modlitwy” 23 czerwca 1983 roku, został aresztowany przez teksaską Straż Drogową (*Texas Rangers*). Prawną podstawą do tego było nielegalne posiadanie przez niego broni.

Zatrzymany z początku odmawiał zeznań, ale po czterech dniach trzymania w celi o zaostrowanym rygorze, przyznał się do zamordowania Becky Powell i Kate Rich i ujawnił, gdzie ukrył zwłoki. W miejscu przez niego wskazanym odnaleziono

zakopane szczątki młodej kobiety. W przypadku Kate Rich sprawa identyfikacji była trudniejsza, ale też nie pozostawiała wątpliwości; w pobliżu rury kanalizacyjnej znaleziono jej pęknięte okulary i majtki, a w piecu „Domu modlitwy” resztki zwięglonych kości ludzkich. Po tym zeznaniu w Lucacie coś się „odblokowało” i wyznał, że popełnił wiele innych morderstw, które do tej pory nie zostały wyjaśnione.

## Fala fałszywych zeznań

W listopadzie 1983 roku Henry Lucas został przetransportowany do więzienia w hrabstwie Williamson w Teksasie. Tam, podczas licznych przesłuchań, zaczął opowiadać o swoich faktycznych jak i zmyślonych zbrodniach, w tym tych, które popełnił wspólnie z Toole'em. Na podstawie jego zeznań wyjaśniono 28 morderstw, po czym powołano tzw. Oddział Specjalny ds. Lucasa (*Lucas Task Force*), w celu zbadania innych, rzekomo przez niego popełnionych zabójstw na terenie różnych stanów. Dzięki jego zeznaniom policja „rozwikłała” jeszcze 213 kolejnych przypadków. Istnieje podejrzenie, że wiele z nich przypisano chętnie właśnie jemu, jako „kozłowi ofiarnemu”, aby poprawić policyjne statystyki wykrywalności. Podejrzany odwoływał niektóre złożone wcześniej zeznania, kręcił i fantazjował. Wyglądało na to, że sprawa mu frajdę wodzenie za nos funkcjonariuszy. W trakcie śledztwa wyszło m.in. na jaw niewyjaśnione morderstwo, któremu nadano nazwę „Pomarańczowe skarpetki”. Chodziło o zabójstwo nieznannej kobiety 31 października 1979 roku w Georgetown w Teksasie. Ofiara została uduszona i nie miała na sobie nic oprócz pomarańczowych skarpetek. Przyznanie się do tego mordu miało stać się podstawą do skazania Lucasa na najwyższą karę.

★ ★ ★

Po długim i pełnym kontrowersji procesie, Henry Lee Lucas za 11 zabójstw został skazany w 1985 roku na karę śmierci za zamordowanie kobiety w pomarańczowych skarpetkach. Jego odpowiedzialność za to przestępstwo budziła jednak sporo wątpliwości i obrońcy Lucasa złożyli odwołanie od wyroku. Po jej rozpatrzeniu wyszło na jaw, że skazany ma stuprocentowe alibi: w dniu jego popełnienia przebywał w Jacksonville, w pracy. Mimo tego Lucas spędził w celi śmierci 13 lat. Dopiero w 1998 roku, ówczesny gubernator Teksasu George W. Bush, przychylił się do jego prośby o ulaskawienie i zamienił mu karę śmierci na dożywotnie więzienie. Ulaskawiony „zeznaniowy morderca” zmarł 13 marca 2001 roku w więzieniu na zawal serca. Jego *casus* pozostał jednym z najbardziej niezwykłych i kontrowersyjnych przypadków w historii amerykańskiej kryminalistyki. ■

**Andrzej Poll**

# WIEŻA W DŻUNGLI

Tadeusz WÓJCIAK

Stworzyli swój własny, dziwny świat, w bajecznej wieży, wznoszącej się nad zielonym dachem deszczowego lasu. Wszystko to, co przeciętnemu człowie-

kowi wydaje się tylko snem, oni mieli w zasięgu swych rąk – bliskie, prawdziwe i dotykalne. Dlatego trudno uwierzyć, że to życie należy już tylko do przeszłości.





**U**topia. Idylla. Rezultat marzeń o wolności, egzystowaniu w zgodzie z naturą, z daleka od ludzkich siedzib"... Tak opisywano niezwykle twórczo wyobraźni dwojga Amerykanów. Na świecie nie brakuje dziwaków, wiodących niekonwencjonalne, choć pomyślne życie w siedzibach zbudowanych na drzewach, na wodzie, w chatkach na leśnym odludziu, w szałasach na samotnych wyspach, a nawet w górskich pieczarach. Jednak John i Ann wybrali się ponad najśmielsze wyobrażenia o ekstrawaganckim miejscu bytowania, budując dla siebie domostwo w kształcie imponującej wieży, w samym sercu kostarykańskiego deszczowego lasu.

„Trudno uwierzyć, że ta budowla jest dziełem ludzkich rąk. Brak słów, by opisać tak dziwną, lecz zarazem piękną siedzibę tych dwojga, która stanowi dowód sprzężenia niesamowitej wyobraźni i niczym nieposkromionej fantazji z niezaprzeczalnym talentem projektanta, a wreszcie z materialnym stanem posiadania, granicznym z arogancją. W rezultacie powstała kombinacja Disneylandu z muzeum sztuki, z domieszką elementów znanych z historii o kapitanie Nemo i Jamesie Bondzie” – napisała jedna z gazet.

Czternaście lat później John Bender został znaleziony z przestreloną głową, w zajmującej całe piętro sypialni. Ann, jego żona, odbywa karę więzienia, która – biorąc pod uwagę stan jej zdrowia – może się zakończyć przedwczesną śmiercią. Ich siedzibę powoli wchłania agresywna tropikalna przyroda, a po marmurach i alabastrach uwijają się dzikie zwierzęta.

## Dwoje wspaniałych

**A**nn i John poznali się w 1998 roku, na jednym z przyjęć na jego farmie w stanie Wirginia. Oboje młodzi, z ogromnym apetytem na udane życie, atrakcyjni – doskonale zbudowani, wysocy, czarnowłosi – stanowili parę zwracającą na siebie uwagę.

– Takich ludzi jak oni próbują grać w romantycznych filmach najlepsi z hollywoodzkiej „fabryki snów”, nie zawsze przekonująco i z dobrym rezultatem. Oni byli lepsi od postaci z filmów, bo normalni i prawdziwi – mówi jeden z ich przyjaciół.

– Oboje odczuliśmy, co to znaczy miłość od pierwszego wejrzenia, uczucie tak ogromne, że niemal zwalające z nóg – przyznała Ann w wywiadzie telewizyjnym, już po tragedii. – W swoich oczach jednocześnie i wzajemnie ujrzeliśmy wspaniałą przyszłość...

Nie tracili więc czasu. Oświadczyli nastąpiły już na początku trzeciego tygodnia znajomości, a ślub wzięli w pierwszą rocznicę poznania.

Oboje wnieśli do małżeństwa znaczny dorobek i doświadczenie życiowe. Dobiegająca trzydziestki Ann była córką amerykańskiego bankiera, którego kariera prowadziła przez wiele krajów świata. Urodziła się w Rio de Janeiro, a jej dzieciństwo i okres dorastania przebiegały w przepychu prywatnych szkół, kurortów, ekskluzywnych klubów sportowych i towarzyskich. Studiowała sztuki piękne w kilku uczelniach amerykańskich. Przez dłuższy czas mieszkała w Londynie i Nowym Jorku.

John Bender był najstarszym synem w rodzinie wybitnego prawnika, wykładowcy na dwóch uniwersytetach oraz wyższego urzędnika w Departamencie Sprawiedliwości. Wykazywał nieprzeciętne uzdolnienia w przedmiotach ścisłych, zwłaszcza w matematyce i fizyce, którą studiował w University of Pennsylvania w Filadelfii. Od wczesnych lat cieszył się z tego, że łatwo osiąga niezależność finansową. W czasie studiów zarabiał jako model i z powodzeniem próbował szczęścia w inwestowaniu na filadelfijskiej giełdzie, gdzie po dyplomie znalazł stałą pracę. Opracował kilka własnych systemów inwestowania, co przysparzało mu klientów, a tym samym ogromne zyski. Zanim ukończył 25 lat, stał się właścicielem majątku sięgającego 80 milionów dolarów, a pięć lat później prowadził fundusz inwestycyjny wartości pół miliarda.

Gdy poznał Ann, miał 34 lata i był stanu wolnego, z opinią dziwaka. Od wielu lat nie ukrywał, że nie przepada za towarzystwem ludzi. Przypominał sobie, że jako nastolatek prosił matkę, by nie organizowała dla niego hucznych przyjęć urodzinowych, czym różnił się od rówieśników. Bardziej wolał obecność zwierząt. Na swojej farmie w Wirginii trzymał stadko dzikich kotów, bo – jak tłumaczył odwiedzającym – „koty nie umieją mówić, a więc nie zadają dziwnych pytań”.

Jeszcze przed ślubem John i Ann zdawali sobie sprawę, że są inni od przeciętnych ludzi, bo łączy ich ta sama niedoskonałość. Podobno już w pierwszych godzinach po zawarciu znajomości odkryli przed sobą, że już od dzieciństwa oboje cierpią na depresję dwubiegunową, co się przejawia nagłymi zmianami nastrojów, od euforii po załamanie, od radości po przygnębiający smutek i bolesną niechęć do życia. To usprawiedliwiało i wyjaśniało ich stosunek do ludzi oraz brak przystosowania i odporności na choćby nawet drobne niepowodzenia.

Ale przecież teraz mieli siebie. Znaleźli wreszcie głęboką miłość, którą przyjęli jako najwyższą wartość, jako optymistyczną zapowiedź dalszej udanej drogi przez życie. John wyznaczył i nakreślił dalszy kierunek, zaś ona przyjęła to bez wahania. John już wiedział, że nie chce marnować życia w Nowym Jorku czy Filadelfii. Postanowił uciec jak najdalej od środowiska ludzi zajętych



robieniem wielkich pieniędzy. Dostrzegał zupełnie inny świat, dla siebie i Ann.

– Mamy do wyboru dwa miejsca: w Brazylii albo na Kostaryce – zaproponował John w styczniu 1998 roku.

– W Brazylii już mieszkałam. Mam przykre wspomnienia... – odpowiedziała Ann.

### Na dachu świata

**B**yla wiosna 1998 roku, gdy John i Ann przenieśli się na Kostarykę. Zamieszkali na terenie ogromnego placu budowy, w samym sercu deszczowego lasu pokrywającego pofalowanym, górzystym dywanem południowo-zachodni rejon kraju. Wybrali najwyższe wzniesienie, zapewniające widok na Pacyfik. Za 10 milionów dolarów stali się właścicielami pięciu tysięcy akrów (około 25 kilometrów kwadratowych) nieprzeniknionej dżungli. Mieszkańcy najbliższego miasteczka – La Florida de Baru oraz nieliczni hodowcy bydła i krzewów kawowych nie posiadali się ze zdumienia na wiadomość, że dwoje Amerykanów zapragnęło stworzyć tu sobie prywatny raj na ziemi. Tu nikt nie przejawiał chęci kupowania gruntów, nawet zamożni Kostarykanie. Odstraszał i zniechęcał brak dróg, niedostępny teren, jadowite węże, stada małp oraz innych dzikich zwierząt, walczących o swoje terytoria.

– Znakomicie, tego właśnie nam trzeba. Tu będzie nasz dom – stwierdził John.

Budowa ich siedziby zajęła kolejne cztery lata i dla okolicznych farmerów wiązała się z poprawą warunków życia: nowe drogi, elektryczność, możliwość dodatkowego zarobku. John Bender zatrudnił pięćuset robotników. Na wzniesieniu wyrosły cztery otoczone głęboką fosą budynki oraz lądowisko dla helikopterów. Swe miejsce nazwali Boracayan, od popularnej tutaj rośliny kwiatowej.

Główną budowlę stanowiła okrągła czteropiętrowa wieża, wyrastająca ponad zielony dach dżungli – konstrukcja z lekkiego betonu, upiększonego marmurem, alabastrem, szlachetnymi metalami i kryształowym szkłem. Powierzchnia mieszkalna dla dwóch osób wynosiła 8 tysięcy stóp kwadratowych (743 metry kwadratowe). John postanowił spełnić swój zamiar bezpośredniego kontaktu z naturą. Piętra nie posiadały ścian zewnętrznych. Stanowili część deszczowego lasu. Codziennemu ich życiu, niemal każdej ich czynności, towarzyszyła świadomość, że przyglądają się im zwierzęta. W każdej chwili, dniem i nocą, czuli obecność bujnej przyrody, wdzierającej się do ich domu. Nawet czytając, jedząc posiłki, przebywając w sypialni, czy w jednej z wielu łazienek mieli w zasięgu wzroku, a także dotyku, mieszkańców lasu. Ich codzienni goście – ptaki, małpy, jaszczurki – czuli się tu jak u siebie w domu. Wdzierał się tu deszcz, wiatr i mgła, a gdy mieli dość, uruchamiali system przezroczystych zasłon, osuwających się zamiast ścian, szczelnie broniących dostępu do wnętrza. Taka konieczność zdarzała się jednak wyjątkowo rzadko.

Ich główna sypialnia zajmowała całe ostatnie, czwarte piętro, z rozsuwanym dachem. „Gdy szli do łóżka, musieli się liczyć z prostym faktem, że obudzą się w chmurach” – zauważył jeden z przyjaciół. Natomiast, gdy dach był na swoim miejscu, budził ich wrzask papug, tupot zwierząt i ciekawskie spojrzenia małp zwisających z obrzeży, ze zdumieniem obserwujących szczęśliwą parę w ogromnym łożu. Rzadkich dwunożnych gości zdumiewała kolekcja lamp Tiffany, w liczbie 550 wijących się rzędami wokół łoża. Światłem z tych lamp Ann próbowała rozjaśnić otaczający ją mrok, który w miarę upływu czasu stawał się coraz bardziej szczelny, niepokojący i dokuczliwy.

Na trzecim piętrze mieściła się przestrzeń życiowa gospodarza, przypominająca o życiu pozostawionym gdzieś daleko, w miastach północy, w światowych centrach znieawidzonej przez niego cywilizacji konsumpcyjnej. John nie do końca zerwał swe związki z Wall Street, bo przecież musiał zarabiać dalej, a także kontrolować monstrualnie wysokie wpływy i jeszcze większe wydatki. Miał tu swoje biuro i komputery, zaś anteny satelitarne zapewniały mu łączność ze światem zewnętrznym.

Całą resztę wieży wypełniało nagromadzenie niewiarygodnego zbytku, mogącego przyprawić o zawrót głowy, a także skłonić do zadawania

pytań o sens. Przeszkłone gabloty z cenną biżuterią i kamieniami szlachetnymi. Kosztowności jeszcze niewypakowane, nagromadzone w torbach i skrzyniach. Ukryte w ogrodach posągi. Wodospady oraz jezioro z egzotycznymi rybami. Liczne miejsca wypoczynkowe i punkty widokowe na owalnych tarasach wiodących z piętra na piętro.

John i Ann spędzali wieczory najchętniej na drugim piętrze, mieszczącym kuchnię z jadalnią. Główny posiłek dnia spożywali na balkonie, z którego mogli obserwować zachód słońca i życie dżungli przed nocą. Nigdy nie opuszczało ich wrażenie, że znajdują się na dachu świata. Wystarczyło spojrzeć w lewo i widzieli wzgórze Panamy. Z prawej mieli podgląd na Nikaraguę, a gdy spoglądali na wprost – przed nimi rozciągał się Pacyfik, ogromne przestrzenie błękitnej wody, znaczonej śladami wyskakujących delfinów i wychylających się wielorybów.

– Po zapadnięciu ciemności wieża Boracayan rozblyskiwała światłami – wspominał Paul Meyer, jedyny sąsiad Amerykanin, posiadający w pobliżu farmę krzewów kawowych. – Na tle czarnej dżungli i rozgwieżdżonego nieba przypominała jeden z tych ogromnych statków pasażerskich, przecinających ocean.

Ann i John byli jedynymi pasażerami na pokładzie. Gdzie ich miał zaprowadzić ten niekończący się rejs?

### Tajemne moce

**J**uż wkrótce stało się oczywiste, że decydując się na zamieszkiwanie w dzikim rejonie egzotycznego kraju, John i Ann przekroczyli niepisaną granicę, ryzykując konfliktem nie z dzikimi zwierzętami, lecz z ludźmi, reprezentującymi szokująco odmienną kulturę.

Pierwszy groźny incydent wydarzył się pod koniec kwietnia 2001 roku. Jechali terenowym Fordem po wyboistej drodze wiodącej do miasteczka La Florida, gdy rozegrała się scena przypominająca napad zbrojny. Dwóch osobników w cywilu wycelowało w nich rewolwery. Wykrzykiwali

pogróżki, strzelali w powietrze i pod ich stopy, a następnie aresztowali sterroryzowanego Johna. Wreszcie przedstawili się jako agenci służby bezpieczeństwa i zawieźli oboje do komisariatu policji, gdzie Johnowi wręczono pozew sądowy wystawiony w... Nowym Jorku! Po spełnieniu obowiązku i podpisaniu stosownych dokumentów kazano im sobie pójść, jakby się nic nie stało.

To zdarzenie uświadomiło im po raz pierwszy, w jaki sposób działa prawo w ich nowym kraju. Wręczony dokument był jak najbardziej prawdziwy i dotyczył sporu z byłym współnikiem. Zadziwił jednak styl działania tutejszego wymiaru sprawiedliwości. W czasie napadu na drodze jeden z wystrzelonych pocisków o mało co nie ugodził Johna w stopę. Ann doznała szoku, wraz z dziwnym przecuciem, że ich życiem zaczynają rządzić tajemne moce, które uspokoją się dopiero wtedy, gdy dokonają dzieła zniszczenia.

Niemal w tym samym czasie dały o sobie znać konflikty z ludźmi uważającymi teren zakupiony przez obcych za swój własny. Spełniał się właśnie ich kolejny, mało realny plan. Jako Amerykanie wierzący w praworządność byli przekonani, że zakupione terytorium należy wyłącznie do nich, więc mogą tu bez przeszkód narzucić swoje prawa. Kierując się złudnymi ideałami ratowania przyrody dla przyszłych pokoleń, w swojej części deszczowego lasu utworzyli rezerwat dla fauny, patrolowany przez umundurowaną i uzbrojoną straż. Wywołało to bunt wśród kłusowników, od lat polujących tu na małpy i ptaki, utrzymujących swe rodziny ze sprzedaży mięsa i skór. Gęstwina dżungli stała się odtąd widownią zasadzek, pościgów i ucieczek, a także brutalnych rękoczynów. Mieszkańcy wieży nie brali w nich udziału, lecz traktowano ich jako sprawców całego zła. Zanim narzucili tu nowe prawa, ta ziemia należała do wszystkich.

Niektórzy z miejscowych nienawidzili przybyszów za to, że zostali pominięci jako siła robocza przy budowie ich siedziby. Natomiast wszyscy po prostu zazdrościli im bogactwa, stylu życia, niezależności. John i Ann należeli do innego, nieznanego tubylcom świata. I za to należało ich tępić, a w najlepszym razie uprzykrzać im życie.

Na przełomie wiosny i lata 2002 roku coraz częściej zdarzało się, że ktoś strzelał z dżungli w stronę wieży. Pewnej nocy, na początku lata, uzbrojony napastnik pojawił się w zaroślach i zaatakował strażników. Strzały znów wybudziły Johna i Ann. Ich oaza spokoju raptem traciła swój sens.

– Szczerze wam radzę, zabierajcie się stąd! To nie jest miejsce do życia dla przybyszów z miejskiej cywilizacji – poradził im wynajęty ochroniarz.

Mieszkańcy wieży z niechęcią odnieśli się do tej rady. Po jednym z kolejnych incydentów wyjechali na trzy miesiące do Kanady. Po powrocie wynajęli ochroniarzy z przygotowaniem paramilitarnym.



Nie polepszyło to poczucia bezpieczeństwa. John ulepszał system elektronicznych zabezpieczeń i kupował broń palną. Po kolejnej strzelaninie na skraju dżungli zabrał Ann do Nowej Zelandii. Spędzili tam niemal cztery miesiące, lecz po powrocie zastali Boracayan niczym w stanie obłąkania. Wszyscy rozsądnie myślący przyjaciele popierali zdanie kolejnych ekspertów: Tu się nie da żyć! W tej dżungli nigdy nie będzie spokoju. Trzeba zabrać stąd wszystko, co przedstawia wartość i się stąd wynosić...

Oni jednak nie zamierzali się poddawać.

– Nasz wybór padł na Kostarykę – mówili. – Kochamy to miejsce i nie zamierzamy stąd uciekać!

### Wysoka cena

**P**łacili jednak wysoką cenę. Nawarstwienie niepokojących wydarzeń i atmosfera niepewności wypełniająca ich prywatny świat, powodowała ciężkie spustoszenia w ich psychice. W miarę upływu kolejnych miesięcy, a potem lat, nieustanny stres zaczął zbierać niebezpieczne żniwo. Ze wzmożoną mocą powracała depresja maniakalna, jakos kontrolowana w warunkach amerykańskich, lecz na wrogim bezludziu niemożliwa do opanowania i przytływająca groźnymi falami.

Ann poddała się już po pierwszym szoku doznanym na drodze, gdy strzelali do nich agenci policji. Strach i podniecenie wywołały niekończący się cykl depresji, a następnie całkowite załamanie odporności organizmu. Rezultatem była operacja usunięcia narządów rodnych. John odpowiedział załamaniem psychicznym. Świadomość jej cierpienia naruszyła jego odporność na ciosy z zewnątrz. On także popadał w długie okresy ciężkiej depresji, wywołującej nienawiść do świata i pragnienie zemsty na sprawcach ich cierpienia, ukrywających się w przepastnej dżungli, buszujących na jego własnym terytorium, polujących na zwierzynę, którą przecież on postanowił chronić.

Wtedy zbroił się, kupował coraz więcej rewolwerów i strzelb z celownikiem optycznym, oczekiwał na atak wroga. W arsenale miał nawet dwa pistolety maszynowe AK-47, nielegalne w tym kraju. Na Boracayan nikt jednak nie nacierał, za to w obojgu jego właścicielach rozwijała się choroba, będąca ich największym wrogiem.

– Nie pomagał wcale fakt ich całkowitego odosobnienia. Przebywali w skrajnym odizolowaniu od świata zewnętrznego, zdani tylko na siebie i na zmienność swych nastrojów – twierdził doktor Arturo Lizano, psychiatra z San Jose (stolica kraju), który próbował leczyć Ann. – Oboje pograżyli się w podobnych psychozach; szaleństwo jednego z nich wpływało niszcząco na stan umysłu partnera.



Z początku John również próbował przeciwstawić się chorobie. Jeździł na spotkania z psychiatrą, nie stosował się jednak do jego rad i nie przyjmował leków. Jego stan coraz bardziej się pogarszał. Stanowił zagrożenie nawet dla samego siebie. Przeżywał okresy głębokiego załamania. Przypisywał sobie odpowiedzialność za każdy kłopot i niepowodzenie. Brał na siebie wszystkie ciosy, nie potrafiąc odróżnić skali ich znaczenia. W równym stopniu przeżywał kolejne dolegliwości Ann, jak i śmierć ulubionego zwierzęcia, a gdy dostrzegał, że stan zdrowia żony zamiast się polepszać, idzie w zupełnie odmiennym kierunku, załamywał się tak, jakby to była jego wina.

Próbował więc ją ratować, bo – jak twierdził – jego dolegliwości były niczym w porównaniu z jej cierpieniem. W dużym stopniu miał rację: Ann traciła siły, dopadały ją różne choroby, związane z obecnością dzikich zwierząt. Nabawiła się boreliozy, choroby przenoszonej przez kleszcze, grożącej zapaleniem opon mózgowych. Przyjmowała ogromne ilości leków. Jesienią 2009 roku schu-

dła do 40 funtów, ważyła mniej więcej tyle, co kilkuletnia dziewczynka. Na jej skórze zaznaczyły się odleżyny oraz wybroczenia po nadmiernym użyciu strzykawek. Na domiar złego John wmówił sobie, że zawartość tutejszych strumieni ma właściwości lecznicze, więc nie natrafiając na sprzeciw Ann, aplikował jej bezsensowne wodne zastrzyki, co jeszcze bardziej pogarszało jej stan.

Wtedy załamywał się jeszcze bardziej. Wykrzykiwał oskarżenia, winiąc siebie za oderwanie ich obojga od cywilizacji, za egoistyczne pragnienie wybicia się ponad przeciętność. Zamiast próby naprawienia błędów i szybkiego powrotu do Nowego Jorku lub Filadelfii, pod aż tak teraz pożądany parasol ochronny najlepszych lekarzy i nowoczesnych szpitali, on coraz bardziej zrywał kontakty ze światem zewnętrznym. Nie odpowiadał na wiadomości od zaniepokojonych przyjaciół, a zwłaszcza od rodziców obojga. Strażnicy oraz nieliczni dostawcy przybywający do wieży Boracayan z nieukrywanym przerażeniem zauważali, że zachowuje się jak szaleniec, mówi do siebie i nosi Ann na własnych rękach, jak małe dziecko.

Stan żony ciągle się pogarszał, więc wywoził ją do szpitala w San Jose, a potem wracał do Boracayan, skąd wysyłał do niej listy, świadczące o tym, że znajduje się już o krok od samozniszczenia: „Tracę świadomość, ogarnia mnie coraz bardziej dotkliwe szaleństwo. Znowu przeżywam napad ciężkiej depresji. Dzień toczy się powoli, jak zmora senna, a najgorsza jest świadomość, że jutro będzie jeszcze gorzej. Wczoraj – przyływ nagłego optymizmu, jakby dotyk pamięci o dawnych czasach, kiedy wszystko było normalne i piękne, ale dziś znowu wiem, że już nigdy nie wróci tamto szczęście. Pragnę tylko śmierci. Czuję się tak okropnie, że pragnę zabić wszystkich po kolei, a na końcu siebie. Nie zasługuję na nic innego, jak tylko na śmierć”...

### Niewyobrażalna tragedia

**W**ystrzał był tylko jeden. Rozległ się tuż po północy, 7 stycznia 2010 roku, wywołując niewyobrażalnie tragiczne konsekwencje dla obojga mieszkańców wieży Boracayan.

Ann Bender zeznała: „Po obejrzeniu zachodu słońca trzy godziny zajęła nam gra komputerowa Fallout 3, stanowiąca obsesję Johna, której główny bohater przedziera się przez kraj spustoszony globalnym kataklizmem, w poszukiwaniu śladów po zaginionym ojcu. Potem on wyraził gotowość pójścia do łóżka, co mnie ucieszyło, bo uznałam to za symptom udanego dnia. W łóżku się rozgadał; powróciły jego obsesje. Zasypiałam, kiedy jak przez mgłę dotarły do mnie niepokojące słowa: *Jeszcze nie wiesz, jak to jest, gdy się budzisz, a przy tobie leży martwy mąż...*



Te słowa natychmiast wyrwały mnie z letargu. Otworzyłam szeroko oczy. John leżał na wznak, głowę jak zwykle opierał na swej ulubionej poduszce, ale w rękę trzymał pistolet. Nadal mówił, upajał się tymi strasznymi słowami, kierując lufę w swoją twarz, a potem wyżej, coraz bliżej skroni.

Pomyślałam: wreszcie chce spełnić swoje groźby, lecz wszystkim wskazywało na to, że zabrakło już czasu na prośby i na perswazję. Wpierw uklęknęłam na łóżku, a potem błyskawicznie rzuciłam się w jego stronę, obiema rękami próbując sięgnąć po pistolet. Niemal się to udało. Chwyciłam oburącz, pistolet prześlizgnął się przez moje dłonie i wypalił. Trysnęła krew, spryskała łóżko i wyciekła na podłogę. Byłam w szoku, lecz nie zważając na swój stan (osłabienie, niemożność wykonania nawet kroku bez ogromnego wysiłku i bólu), biegałam po sypialni, próbując ratować mu życie. Zapaliłam wszystkie światła i zatelefonowałam do ochrony, cały czas zdając sobie sprawę, że John już kona, bo rzeził i wyrzucał krew ustami”...

Gdy przybyli ochroniarze, zastali Ann pokrytą krwią, klęczącą przy łożu. Pograżona w rozpacz tuliła się do ręki męża, prosząc go, by otworzył oczy. Na podłodze przy łożu leżał półautomatyczny pistolet Ruger P95. Zanim przyjechała ekipa śledcza, mężczyźni pomogli Ann zjechać windą na drugie piętro, gdzie zażyła środki uspokajające, a następnie wysłała e-maile do swych rodziców i brata w stanie Michigan.

„W końcu to się stało”... – brzmiała jedna z wiadomości.

Kilkanaście godzin później, w południe 7 stycznia 2010 roku, Ann została przewieziona na komisarjat policji w mieście San Isidro de General,



gdzie złożyła pełne zeznanie, a następnie zatelefonowała do doktora Arturo Lizano, swego psychiatry w San Jose:

– Potrzebuję pomocy. Mój mąż popełnił właśnie samobójstwo...

### Wielokrotne ukaranie

**M**inęło pięć lat. Ann Bender odbywa wyrok 22 lat pozbawienia wolności. Dziękując czas spędzany w celi więzienia z częstymi okresami leczenia szpitalnego, niezbędnymi dla utrzymania jej przy życiu, próbuje zrozumieć motywy postępowania wymiaru sprawiedliwości kraju, który miał być rajem, a okazał się piekłem. Nie potrafi jednak pojąć, jak to się stało, że okrzyknięto ją morderczynią ukochanego męża i pozbawiono majątku. Ukazano ją wielokrotnie, do wielu udręk dodając jeszcze pozbawienie wolności. W nieskutecznych, jak dotychczas, próbach rewizji niesprawiedliwego wyroku, korzysta z pomocy kilku życzliwych prawników, przekonanych o jej niewinności i wyświadczaających jej przysługi zupełnie za darmo.

Tak się bowiem stało, że jeszcze niedawno wielokrotna milionerka, Ann straciła nie tylko wolność, ale również majątek, w tym wszystkie pieniądze, niemal 70 milionów dolarów, które przepadły wskutek matactw skorumpowanych prawników. Przepadła również przechowywana w Boracayan

kolekcja biżuterii i szlachetnych kamieni, o łącznej wartości 20 milionów dolarów. Została skonfiskowana przez władze, jako dowód na przemyt, prowadzony rzekomo na wielką skalę przez „dwoje dziwaków z więzy”.

Opinia publiczna chętnie i z satysfakcją dała temu wiarę, bo dla przeciętnego człowieka z uboższego kraju stan posiadania Johna i Ann przedstawiał się jako niesprawiedliwa obelga.

Utrata majątku traciła jednak na znaczeniu wobec faktu, że udało się uratować chociaż jedno z nich. Przecież tamtego stycziowego dnia, gdy nad zwłokami Johna pochylali się oficerowie śledczy, Ann znajdowała się w stanie bliskim śmierci.

– Stanowiła zaledwie żalony strzęp człowieka – wspomina doktor Arturo Lizano. – W dniu, kiedy ponownie przyjęto ją do szpitala, była okropnie wychudzona, blada, bardzo osłabiona. Nie miała wystarczająco siły, by utrzymać w dłoni filiżankę kawy. Cierpiała na boreliozę. Zator żylny w okolicach serca wymagał natychmiastowej operacji. Znaczna powierzchnię jej ciała pokrywały liszaje, pęcherze, wybroczenia po zastrzykach. Cierpiała na okresowe zaniki pamięci, a gdy powracała nagle, pod wpływem pytań czy skojarzeń, Ann załamywała się, szlochała i nie chciała wspominać o tym, co się wydarzyło tamtej nocy. Wiedziała tyle tylko, że straciła męża, ale nie chciała o tym mówić.

Stan ten utrzymywał się około pół roku, a gdy wreszcie wypisano ją ze szpitala, nie mogła wrócić do wieży Boracayan, która nie była już miejscem zapamiętanym z okresu przed tragedią. Policja ogołociła posiadłość z niemal wszystkich rzeczy należących do niej i Johna. Resztę rozgrabili tubylcy, głównie kłusownicy, biorąc rewanż za kilka lat niezrozumiałych dla nich porządków. Ann zamieszkała u przyjaciół, nosząc się z zamiarem rychłego powrotu do USA, któremu położyło kres nieoczekiwane aresztowanie.

Oskarżenie konsekwentnie opierało się na istotnym szczególe: John był leworęczny, tymczasem śmiertelny postrzał trafił w jego prawą skroń. Podczas dwóch kolejnych procesów sądowych powołano ekspertów świadczących na korzyść Ann. Pierwszy proces zakończył się uniewinnieniem, natomiast drugi – wyrokiem skazującym. Sędziowie nie dali wiary zeznaniom Ann o nieudanej próbie ratowania męża przed samobójczym strzałem.

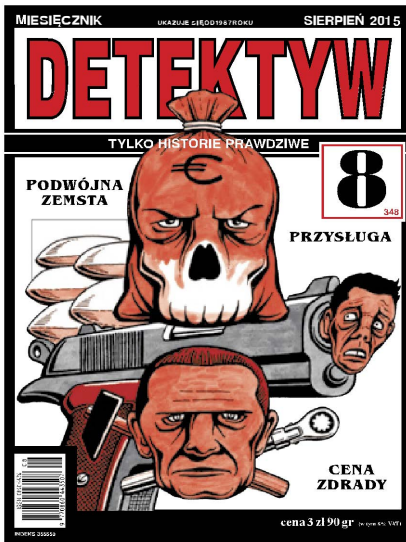
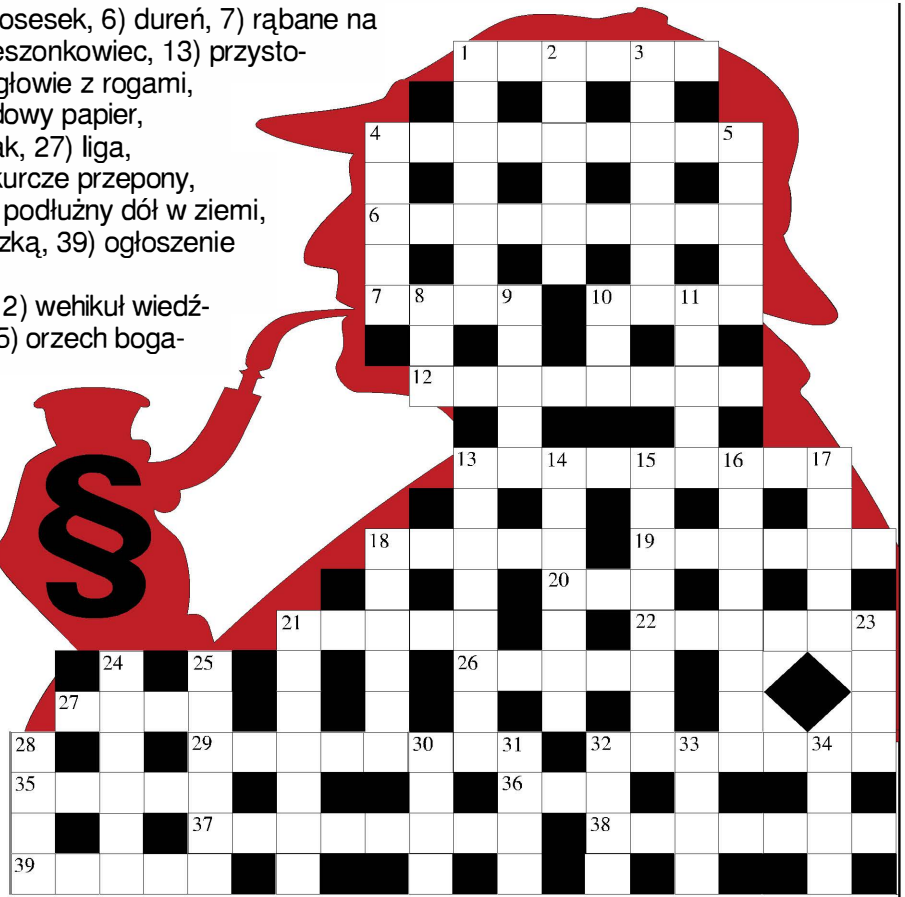
Los obojga, najpierw tragedia Johna, a następnie niekończące się dramatyczne przeżycia i cierpienia jego żony, może być smutną lekcją dla ludzi szukających wyzwolenia od monotonii życia, poszukiwaczy nowych horyzontów. Wieżę Boracayan, gdzie John i Ann znaleźli kiedyś szczęście, pochłania dżungla, która zatrze po nich wszelkie ślady. ■

**Tadeusz Wójciak**

**POZIOMO:** 1) krwiożerczy upiór, 4) osesek, 6) dureń, 7) rąbane na opał, 10) pan na Olimpie, 12) np. kieszonkowiec, 13) przystosowanie, 18) płynny tłuszcz, 19) na głowie z rogami, 20) młodzieżowa swoboda, 21) giełdowy papier, 22) uzdrowisko, kąpielisko, 26) kociak, 27) liga, związek, 29) drobny pieniądz, 32) skurcze przepony, 35) historyczny przedział czasu, 36) podłużny dół w ziemi, 37) tłok, ścisk, 38) autobus z wycieczką, 39) ogłoszenie na parkanie.

**PIONOWO:** 1) solenizant z 22 maja, 2) wehikuł wiedzy, 3) pod sosną, 4) bandycki czyn, 5) orzech bogaczy, 8) cios, uderzenie, 9) muzyczne współbrzmienie, 10) zbieżny lub rozbieżny, 11) nawałnica, 13) uruchamianie lalek w teatrze lałkowym, 14) badanie składu substancji, 15) Siergiej Bubka, 16) bujne włosy, 17) twórca dzieła, 18) badany papierkiem lakmusowym, 21) broni w sprawie, 23) sądowa szata, 24) święty z Padwy, 25) naukowiec, uczonec, 28) kłitka za karę, 30) ma fanów, 31) kuzyn raka, 32) szybki galop, 33) ogon zwierzęcia, 34) ma stolicę.

(rozwiązanie w numerze)



- **DRZEWO NIEZGODY** – Po śmierci ojca Adrian K. został jedynym posiadaczem nieruchomości z okazałym drzewem i równie okazałym domem. Miał trzydzieści siedem lat i prawie wszystko z listy życiowych mądrości, co powinien mieć w tym wieku mężczyzna.
- **POLOWANIE NA „KONDORA” CZ. 2** – Mówią o nim, że to najsynniejszy haker XX wieku. Wyrokiem sądu zakazano mu

## W NASTĘPNYM NUMERZE

dość do komputera, gdyż „człowiek ten uzbrojony w klawiaturę jest groźny dla społeczeństwa”. Był to pierwszy tego typu wyrok na świecie.

- **CENA ZDRADY** – Babcia Jasi śniła się, że pod podłogą w mieszkaniu zięcia grasują szczury. Odgłosy nasiliły się po wigilii, na którą zięć zaprosił ich do tego pokoju.

- **POSŁAŃCY CZARNEJ ŚMIERCI** – Mór się rozszerzał, płomień zarazy się powiększał, straszne zło się srożyło i wszystko szło na pastwę gwałtownie wzmagającego się żywiołu...

- **PRZYSŁUGA** – W życiu zdarzają się chwile, kiedy konieczne jest podjęcie radykalnej decyzji. Z reguły możliwość wyboru zawęży się do dwóch opcji: albo zrezygnować i odpuścić, zyskując spokój i unikając komplikacji, albo przeć dalej przekraczając kolejne granice.

- **SEKS W CIENIU IMMUNITETU** – W Polsce, co jakiś czas słyszymy o seksaferach z udziałem przedstawicieli władzy. Zdarza się, że zasługują oni bardziej na litość, niż na wiekiuste potępienie...

- **SZKOLNA FERAJNA** – Gdy tamtego wieczora Igor D. wszedł do knajpy, stał się pośmiewiskiem dla lokalnej szumowiny. Nikt wtedy nie przypuszczał, że zostanie on odnaleziony następnego dnia martwy na tyłach sklepu.

- **W CIENIU EGZEKUCJI CZ. 1** – Charles i jego żona Laura wraz z dziećmi walczyli o przetrwanie, a gdy wreszcie osiągnęli bezpieczne miejsce i ujrzeeli światelko w mroku, on znalazł się w okolicznościach wiodących wprost do celi śmierci więzienia Sing Sing.

- **PODWÓJNA ZEMSTA** – Ta historia mogłaby posłużyć za scenariusz filmu o współczesnej przestępczości w Polsce. Główni bohaterowie krążą po Europie i Ameryce, obracają setkami tysięcy euro, a kiedy nie oddają długów, dochodzi do porwania, w celu wyegzekwowania należności.

**SIERPNIOWE WYDANIE  
„DETEKTYWA” NR 8/2015  
DO KUPIENIA  
OD 21 LIPCA 2015 R.**

**ZAGADKA  
KRYMINALNA**

# BOSS W SPÓDNICY

Salma Patterson została wezwana do komisariatu przez komisarza Hamiltona, w związku z toczącym się śledztwem przeciwko szajce handlarzy narkotyków. Zatrzymany niedawno członek gangu, przyćmięty przez FBI do muru, złożył zeznania obciążające panią Patterson, ujawniając, że to ona jest bossem całej przestępczej grupy. Jednak po namyśle odmówił podpisania protokołu przesłuchania, więc policja oprócz poszlak, nic przeciwko pani Patterson nie miała. Komisarz na wszelki wypadek polecił zbadać przeszłość podejrzanej, ale jej kartoteka okazała się – jak



Hamilton informuje panią Patterson o powodach, dla których została wezwana na przesłuchanie.



Komisarz wezwany telefonicznie do przełożonego, zostawia ją na chwilę samą w pokoju.



Po pięciu minutach do pokoju wchodzi sierżant Logan i powołując się na polecenie Hamiltona, kontynuuje przesłuchanie kobiety już przy innym biurku. Jednak zeznania Salmę Patterson nie wnoszą niczego nowego.



Parę minut po sierżancie, do pokoju wraca komisarz i siadając przy swoim biurku, przysłuchuje się zeznaniom podejrzanej. Jednocześnie upewnia się, że kobieta przeczytała obciążające ją zeznania, gdy została w pokoju sama.



– Wypuścimy ją – powiedział Hamilton do sierżanta, kiedy po skończonym przesłuchaniu dyżurny funkcjonariusz wyprowadził podejrzaną z pokoju – ale od tej chwili nasi agenci nie odstąpią jej ani na krok. To z reguły daje efekty...

**DLACZEGO KOMISARZ BYŁ PEWNY, ŻE PANI PATTERSON PRZECZYTAŁA PODSTAWIONE ZEZNANIE?**

(rozwiązanie w numerze)